

poprosto

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

List do Redakcji

Po kamienistych ścieżkach

O d najmłodszych lat marzyłem o pracy naukowej i po wstąpieniu na wyższą uczelnię marzenia te zaczęły się spełniać. Już na pierwszym roku studiów pracowałem w kole przedmiotowym, lecz mimo pogłębiania pewnych zagadnień nie była to praca twórcza. Do wszystkich zagadnień podchodziłem dość dogmatycznie: „tak jest napisane, tak musi być, tego zmieniać nie wolno”.

Twórcza nauka zaczęła się dopiero w kole naukowym, choć i tutaj początkowo baliśmy się rozwiązywać problemy samodzielnie.

Pierwszym moim krokiem w pracy naukowej był udział w tegorocznej konferencji teoretycznej. Konferencja nasza poświęcona była zagadnieniu: „Rozrachunek gospodarczy jako forma wykorzystania prawa wartości”. Miałem do wyboru

MIECZYSLAW KABAJ
WSE — Stalinogród

Nie rozumiałem na przykład problemu kategorii ekonomicznych, nie wiedziałem dlaczego rozrachunek gospodarczy nazywa się kategorią ekonomiczną. Aby te sprawy wyjaśnić nie wystarczyła fachowa literatura polska. Siegałem po „Nędzę filozofii”, czytałem również „Logikę” Kuźmina i Winogradowa.

Nie wiem, czy przed konferencją były chwile wolnego czasu, w których bym nie myślał o tych nurtujących mnie zagadnieniach. Idąc spać myślałem o zbudowaniu nowej definicji rozrachunku gospodarczego, wstawałem rano z nowymi koncepcjami. Między mną, a kolegami piszącymi również na ten te-

cie zagadnienia. Piszący przedstawia zagadnienie na szerokiej płaszczyźnie społeczno-ekonomicznej, wykazał jak na studenta głęboką znajomość przedmiotu. Sformułowania cechuje trafność, śmiałość i pomysłowość. Niektóre poruszone zagadnienia mają charakter dyskusyjny, w niektórych wypadkach brak ścisłości teoretycznej”.

Praca moja nie poszła na marne! Wszedłem w skład kolektywu opracowującego ostateczny referat na konferencję. Tutaj znowu spory i dyskusje, coraz bardziej pasjonujące i zapalające. I wreszcie konferencja, krytyka referatu przez studentów i pracowników nauki. Przypominam sobie słowa mgr Mierwińskiego podczas podsumowania dyskusji.

„Referat posiada dużo braków, błędów i wypażeń, lecz nieprzemijającym osiągnięciem tej konferencji jest to, że po raz pierwszy studenci opracowali zagadnienie naukowe po swojemu, po nowatorsku”.

Za słowa krytyki jestem pracownikom nauki wdzięczny. Nie tylko za krytykę. Szczególnie za to, że nie prowadzili mnie „za rękę”, że udzielali mi rad i wskazówek tylko wówczas, gdy były konieczne. Dlatego właśnie mogłem rozwiązywać problem samodzielnie. Dlatego mnie i wielu moich kolegów tak dużo nauczył udział w tej konferencji.



Kolokwium z analizy działalności gospodarczej nie należy do najłatwiejszych, ale uśmiechnięta twarz kol. Kabaja świadczy o tym, że praca idzie mu doskonale. Foto „Cwiżmał”

mat toczyły się zacięte dyskusje, dochodziło nawet do kłótni. Po przerwie semestralnej zacząłem pisać referat. Były to szczęśliwe chwile: w głowie kształtowały się nowe myśli, chciałem, aby referat był interesujący. A to nie była łatwa sprawa. Stwierdziłem, że o wiele łatwiej zdać egzamin z wynikiem bardzo dobrym.

Budowałem nową definicję, konstruowałem nowe cechy rozrachunku gospodarczego. Całkowicie samodzielnie zbudowałem ostatnią część referatu pt. „Krytyka błędnych poglądów na istotę rozrachunku gospodarczego”. Nie zgodziłem się z poglądem, że rozrachunek gospodarczy jest kategorią ekonomii politycznej. Kiedy przelewałem na papier każdą nową myśl — cieszyłem się, że już była twórczość.

Zapisałem ostatnią stronę referatu podpisałem się pseudonimem „Buras” i oddałem go do Katedry Ekonomii Politycznej. Po paru dniach przeczytałem recenzję: „Autor przejawiał wiele samodzielności myślowej. Jego ujęcia i sformułowania są nadzwyczaj oryginalne. Godne jest również pochwały systematyczne i logiczne uję-

mat toczyły się zacięte dyskusje, dochodziło nawet do kłótni.

Po przerwie semestralnej zacząłem pisać referat. Były to szczęśliwe chwile: w głowie kształtowały się nowe myśli, chciałem, aby referat był interesujący. A to nie była łatwa sprawa. Stwierdziłem, że o wiele łatwiej zdać egzamin z wynikiem bardzo dobrym.

Budowałem nową definicję, konstruowałem nowe cechy rozrachunku gospodarczego. Całkowicie samodzielnie zbudowałem ostatnią część referatu pt. „Krytyka błędnych poglądów na istotę rozrachunku gospodarczego”. Nie zgodziłem się z poglądem, że rozrachunek gospodarczy jest kategorią ekonomii politycznej. Kiedy przelewałem na papier każdą nową myśl — cieszyłem się, że już była twórczość.

Zapisałem ostatnią stronę referatu podpisałem się pseudonimem „Buras” i oddałem go do Katedry Ekonomii Politycznej. Po paru dniach przeczytałem recenzję:

„Autor przejawiał wiele samodzielności myślowej. Jego ujęcia i sformułowania są nadzwyczaj oryginalne. Godne jest również pochwały systematyczne i logiczne uję-

Po kilku dniach takiej pracy myślałem, że nie zdołam rozstrzygnąć zagadnienia, nie napiszę referatu. Przerwać pracę? Pisać na inny, łatwiejszy temat? Znaczący to poddać się trudnościom, wycofać się wtedy, kiedy tak blisko jest cel.

Przypomniałem sobie spotkanie w jednej z książek słowa: „W nauce nie ma szerokiego gościńca — i tylko ten może osiągnąć jej promieniejące wyżyny, kto nie bojąc znużenia wspina się po jej kamienistych ścieżkach”. Te słowa powiedział Karol Marks. Kiedyś miały one dla mnie piękną treść — dzisiaj zrozumiałem je w praktyce i dodały mi siły.

Zacisnąwszy zęby pracowałem dalej. Ciągłe czytałem i myślałem: czego jeszcze nie rozumiem? Szukałem nowego materiału. Dostrzegłem po raz pierwszy w swym życiu bogactwo nauki, jej piękno. Dostrzegłem bzdurność „teorii” o płytkości nauk ekonomicznych. Problemy znane mi w teorii, „suche” formuły i definicje okazały się pasjonujące, ciekawe, zachęcające do dalszych studiów.



Z obrazu M. I. Chmielko

„Na wieki z Moskwą, na wieki z ludem rosyjskim”

Dzisiaj w numerze dodatek

I. S. MILLER

Wojna wyzwolenicza
lat 1648 – 1654 a lud polski

„Razem pracować dla przyszłości — jakież cudowne marzenie!”

(Z korespondencji Elizy Orzeszkowej)

Orzeszkowa uczy się w tym czasie języka ukraińskiego, chłonie literaturę ukraińską, przekłada nowele Wowczka i Bobenki i wreszcie koresponduje z Iwanem Franko.

Zanim zdecyduje się na pierwszy list do znakomitego pisarza ukraińskiego tak w korespondencji z Gawronskim formułuje swe stanowisko w sprawie Ukrainy:

„Pokoń i sprawiedliwość — oto godło, które Polska wypisać powinna na swym sztandarze, jeśli ma żyć. To, co się dzieje z Rusinami w Galicji, bolało mnie zawsze bardzo i wydawało się polityką z piekła idącą. Wszelkie antysemityzmy, antyrusinizmy itd. są naprzód rzeczcią złą i głupią, następnie dla nas zabójczą. Poznać się, aby się łączyć, łączyć się, aby wspólnie iść ku dobremu i pożądanemu celom, przebaczyć przeszłość, razem pracować dla przyszłości — jakież cudowne marzenie!”

Gdyby wolno było pracować w tym polu „czynnie” — zawiazywać znajomości, rozpowszechniać czytelnictwo, rozbudzać w nich uczucia ludzkie... gdyby było wolno!”

Swe poglądy na sprawę stosunku Polaków do Ukrainy jeszcze precyzyjniej formułuje Orzeszkowa w liście do Franko z dnia 8 kwiet-

nia 1888 roku. Świadczy o wielkim umyśle i wielkim sercu pisarki.

„Nie znam stosunków galicyjskich i tamtejszych obu społeczeństw, a raczej znam je tylko z czytania i słyszenia, co jest zupełnie niedostatecznym do wydawania sądu o przyczynach i naturze zjawisk. Mogę tylko mówić o tej przestrzeni, którą bezpośrednio spostrzegam i której atmosferą oddycham. Otóż tu obok niezaprzeczalnej większości, która z braku powietrza i światła, a zresztą i z właściwości wszędzie dziś jeszcze panujących, choruje na różne starożytnicze manie, jako to: polonizacji, opatrnościowej misji względem sąsiadnych plemion, patriotycznego szowinizmu itd., obok tej większości, której istnienia wcale nie zaprzeczam, istnieje także spora ilość umysłów szerokich i wolnych, uważających wszelkie rusyfikacje, polonizacje, germanizacje itp., za równo sobie niedorzeczności i występki, umiających bardzo dobrze godzić patriotyzm polski, nawet gorący i do wszystkich ofiar skłonny, z oddawaniem innym tego, co się im należy, z ciepłą, pełną życzliwości i najlepszych części sympatią dla innych. Nie jest to — powtarzam — większość, bo i gdzież naprawdę dziś są większości takie? A!e gdybyśmy mogli obliczyć się i zgrupować, byłaby z nas bardzo poważna i ucieleśnienie użbrojona do walki mniejszość”.

Na pełny troski list Orzeszkowej tak odpowiedział Franko:

„Bardzo przygnębiające wrażenie robi to, co Wy, Łaskawa Pani, piszecie o obecnym stanie społeczeństwa polskiego i nurtujących je prądach. Mogę Wam, jako naoczny świadek, powiedzieć, że i u nas w Galicji pomimo większej swobody sprawa ta przedstawia się nie tylko nie lepiej, ale kto wie, czy nie gorzej.

W połowie lat 70-tych zjawiało się u nas na widowni nowe, najmłodsze pokolenie, do którego też siebie zaliczam. Pokolenie to wnosiło do programu ludowców nowe postulaty: oprócz teoretycznej obrony odrębności narodu maloruskiego za-

dało ono praktycznej obrony interesów narodu w dziedzinie ekonomicznej i socjalnej, żądało pracy inteligencji na korzyść ludu pracującego, w literaturze realnego przedstawienia życia ludu i inteligencji i szerzenia rzeczywistej i rozumnej oświaty w narodzie. Niestety! Za mało nas było, prześladowania rządu oziębily zapal, a u niektórych zupełnie zlamaly wszelką odwagę. Obecnie jesteśmy rozbici i nie możemy się zdobyć nawet na swoje, chociażby najskromniejsze pismo, które by we wszystkich sprawach zabierało głos z naszego punktu widzenia”.

Główna część korespondencji Orzeszkowej — jak nie trudno się domyślić — dotyczy literatury ukraińskiej.

„Od roku przeszło — pisze Orzeszkowa do Franko — zajmowałem się zaczęłam językiem rusińskim i jego literaturą. Kilka przyczyn złożyło się na pociągnięcie mnie ku przedmiotowi temu, ale najbardziej bezpośrednią z nich była korespondencja z dwoma rodakami moimi mieszkającymi na Ukrainie, którzy przejęci gorącą sympatią dla tamtejszego ludu i wszystkiego, co go dotyczy, pracowicie studiują jego przeszłość, obyczaje i wszystkie objawy narodowego ducha. Od nich to dowiedziałam się rzeczy, które zaciekały mię prawie wyłącznie i otrzymałam pierwsze wskazówki i materiały do studiów...”

Z pomocą więc dykcjonarza (rusiński — rosyjski Piskunowa) przeczytałam „Kobzar” Szweczenki, zbiór poezji i dramatów Halki (Kostomarov) i Kotlarewskiego, zbiór powiastek Wowczka, dwie powieści Nieczui, dwie Barwinka i — w ostatnich właśnie dniach — dwa prześliczne utwory Wasze Szanowny Panie, „Zachar Berkut” i „Na dni”.

Z właściwą sobie pracowitością studiuję pisarkę historię Ukrainy, jej sztukę i literaturę, proszę m. in. Franko o pozwolenie przekładu niektórych jego powieści na język polski. Z zainteresowań tych rodzą się obszerniejsze plany literackie, które niestety poza przekładami nowel Wowczka i Staryckiego nie zostały w pełni zrealizowane.

(Dokończenie na str. 6)

Góry, lasy, jeziora i morze czekają na nas. Jeszcze dziś pamiętamy wrażenia z zeszłorocznych wczasów. W tym roku również chcemy spędzić wakacje, jak najprzyjemniej. Już dziś trzeba myśleć nie tylko o tym by dobrze zdać wszystkie egzaminy, ale i o tym gdzie wybrać się na wczasy. O wczasach czytaj na str. 6. Fot. Aleksandrowicz

Będziemy dobrymi fachowcami

Narada, według przewidywań organizatorów, miała trwać trzy godziny. Trwała ponad sześć — i nie wyczerpała jeszcze wszystkich problemów. Zaś wypowiedzi zarówno profesorów jak i studentów były rzeczowe, przemyślane, dotyczyły spraw niezmierznie istotnych dla dalszej pracy wydziału budowy samochodów i ciągników, a często i dla pracy całej Politechniki Warszawskiej.

List zetempowców „Ursusa” do studentów Politechniki Warszawskiej wskazał tylko na niektóre braki absolwentów. Gdy na naradzie aktywnie studenci i profesorowie z przedstawicielami zakładów pracy zastanawiano się nad przyczynami tych braków — okazało się, że jest ich wiele, że przyczyny leżą nie tylko w pracy uczelni, lecz również i w pracy przemysłu.

Najwięcej miejsca w dyskusji zajęła sprawa praktyk wakacyjnych i dyplomowych. Wynikało z niej, że praktyki dotychczasowe nie spełniały w całości swego zadania z trzech zasadniczych przyczyn.

Studenci nie zawsze właściwie podchodzili do praktyk, traktowali je nieraz jako „zło konieczne” i często bumelowali, jak to miało miejsce w ubiegłym roku w Starachowicach. Jednak niewłaściwe wykorzystywanie praktyk wynikało również z dotychczasowego trybu ich organizacji. Nie bez winy są też

same zakłady pracy. W Warszawskiej Fabryce Motocykli, gdzie dyrekcja, organizacja partyjna i zetemowska podeszły do praktykantów jako do ludzi, którzy za rok czy dwa będą pracownikami ich zakładów — zarówno studenci, jak i fabryka wiele z praktyki skorzystał.

Na naradzie postanowiono, że w tym roku każdy praktykant otrzyma indywidualne zadania, a wiadomości zdobyte w czasie praktyki będą sprawdzone przez katedry. Skłoni to studentów do samodzielnej pracy w przedsiębiorstwie, a katedrom pozwoli się zorientować, co właściwie student wyniósł z praktyki, a co jeszcze trzeba uzupełnić w czasie trwania studiów.

Drugim, szeroko dyskutowanym zagadnieniem była sprawa programu i metod nauczania. Studenci skarżyli się na przeciążenie zajęciami, zwracali uwagę na to, że niektóre zagadnienia powtarzane są po parę razy — np. sprężyło student projektuje trzykrotnie na zajęciach z 3 różnych przedmiotów. Profesorowie i asystenci podkreślali fakt, że studenci nie czytają zupełnie literatury fachowej, że uczą się po szkolarsku. Dziekan wydziału, prof. Kosiewicz, podał przykład studenta, który na pierwszych latach miał dobre oceny z metaloznawstwa, a w czasie egzaminu dyplomowego nie potrafił podać temperatury topnienia żelaza. Jednak wnioski w tej sprawie

ograniczyły się jedynie do stwierdzenia konieczności przedłużenia studiów do pięciu lat oraz ogólnikowego postanowienia: „wzmocnić pracę nad ulepszeniem metod nauczania”. Wprawdzie sprawa programu jest dyskutowana zarówno przez Radę Wydziału jak i Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, ale wydaje się, że już obecnie można by sporo polepszyć przez opieranie programów ćwiczeń na konkretnych przykładach z przemysłu, przez podbudowywanie wykładów większą ilością przykładów z bieżącej problematyki zakładów produkcyjnych itp., na co np. zwrócił uwagę przedstawiciel FSO.

Mówiono również o zadaniach przemysłu w wychowaniu dobrego inżyniera. Prof. Minchajmer porównał absolwenta do drzewka owocowego, które ze szkółki przesadzono do sadu. Jak to drzewko będzie owocować zależy w dużej mierze od gruntu, na który je przesadzono, od tego, jak będzie w sadzie pielęgnowane. Politechnika nie może przygotowywać inżyniera umiającego rozwiązać wszystkie problemy produkcyjne — dalszy proces nauczania i wychowywania musi odbywać się w czasie pracy zawodowej. Prof. Kosiewicz postawił wniosek, aby pierwsze lata pracy zawodowej przebiegały wg z góry ułożonego planu, umożliwiającego absolwentowi jego dalszy rozwój.

Na naradzie padło szereg innych cennych wniosków — jak np. umożliwienie werbowania pracowników naukowych spośród wybijających się inżynierów pracujących w przemyśle, przyznanie studentowi pewnego czasu na odpoczynek w okresie między zakończeniem sesji, a rozpoczęciem praktyk, otoczenie większą opieką kół naukowych, organizowanie wycieczek do zakładów pracy i okresowych narad z absolwentami itp.

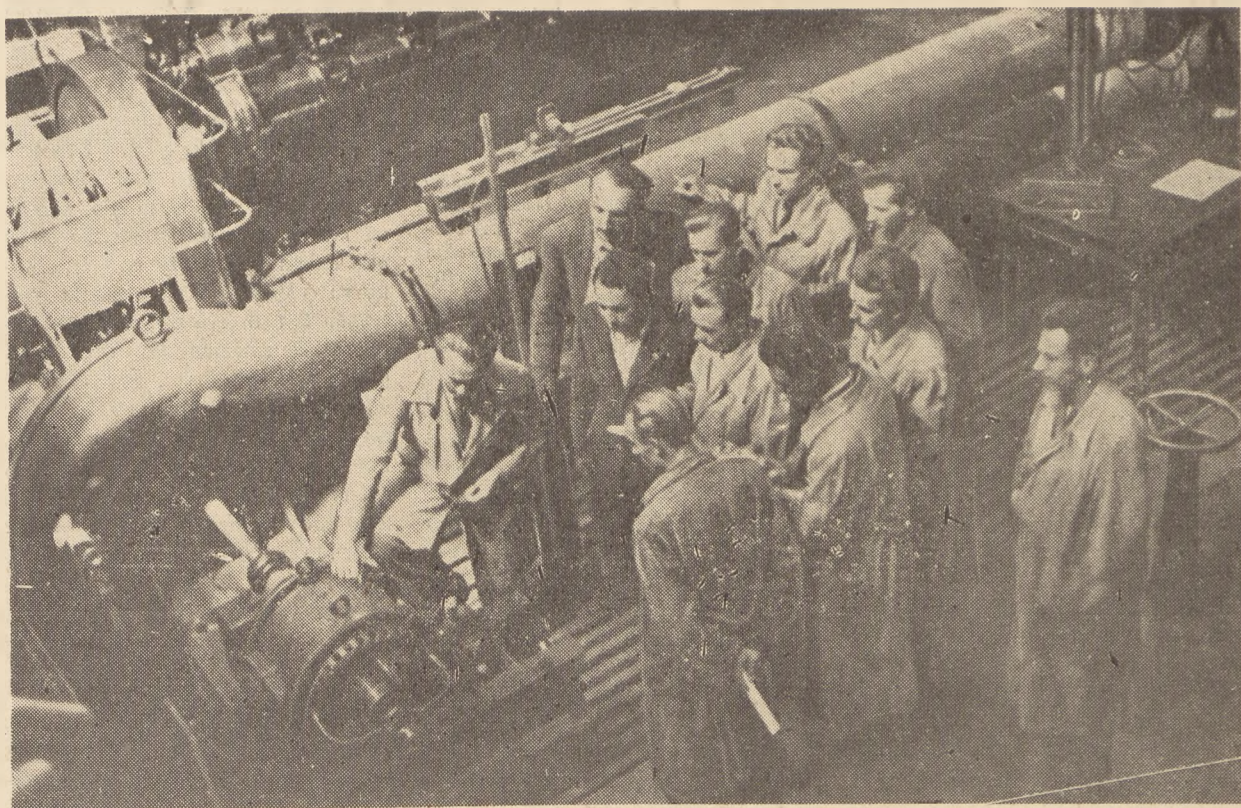
Obok poważnych osiągnięć narady wydaje się, że brakiem jej było prawie zupełnie pominięcie spraw politycznego przygotowania do przyszłego zawodu. O pracy organizacji zetempowców mówiły tylko 2 osoby, co oczywiście znalazło wyraz w braku wniosków, które by pomogły Oddziałowej Organizacji Partyjnej i Zarządowi Wydziałowemu lepiej niż dotychczas prowadzić pracę wychowawczą.

Od wysokiego poziomu wypowiedzi pracowników naukowych i studentów odbijały nieprzygotowane i często bardzo mało konkretne wystąpienia przedstawicieli zakładów pracy. Musiało to oczywiście poważnie zubożyć naradę.

Co najmniej dziwny wydaje się fakt, że zabrakło na naradzie przedstawicieli Komitetu Uczelnianego PZPR i Zarządu Dzielnicowego ZMP.

Narada, mimo tych braków, była bardzo cenna i dała wiele materiału dla usprawnienia pracy wydziału i uczelni. Jednak jest to dopiero pierwszy krok — drugim musi być wprowadzenie w życie wniosków, dotyczących bezpośrednio uczelni oraz przekazywanie i kontrola realizacji wniosków dotyczących Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i zakładów pracy.

ST. CH.



Członkowie STN przy Politechnice Wrocławskiej dokonują pomiarów przepływu gazów potrzebnych do pracy zgłoszonej na Konferencję Naukową.

PROF. DR. INŻ. Z. KOWALCZYK
Rektor Akademii Górniczo-Hutniczej

O stałe ulepszenie metod nauczania

Wiele przyczyn złożyło się na to, że poziom studiów na wyższych uczelniach technicznych nie jest jeszcze zadowalający. Z jednej strony słabo rozwinięty aparat szkolnictwa wyższego w okresie międzywojennym i szczególnie dotkliwie straty, jakie poniósł on w czasie wojny, z drugiej strony przy gwałtownym rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce Ludowej trudno było uniknąć różnego rodzaju niedociągnięć, zwłaszcza przy przejściu na masowe przygotowywanie inżynierów w 3-letnim kursie nauczania.

Na marginesie listu Kierownika Kombinatu w Kędzierzynie skierowanego do studentów szkół wyższych należy stwierdzić, że uczelnie zdają sobie sprawę, iż pewna część absolwentów kursu 3-letniego nie spełnia w przemyśle nadziei, które w nich pokładano.

Wysięk uczelni nad podniesieniem poziomu studiów stale wzrasta. Osiągnięliśmy ogromną poprawę w rytmiczności studiów siłowniącą wstępny i nieodpowiedni warunek podniesienia poziomu absolwentów.

Dyskutując nad danymi, jakie wynikają z IX Plenum i II Zjazdu Partii, uczelnia nasza powołała specjalną komisję, która zajmuje się opracowaniem wytycznych dla dalszej jej pracy.

Obok pracy nad uzgodnieniem planów badań naukowych z aktualnymi potrzebami gospodarki narodowej, jednym z ważniejszych zadań komisji jest ustalenie wytycznych do pracy nad podniesieniem poziomu studiów i ulepszeniem metod wychowawczych, tak aby przemysł mógł otrzymać inżynierów pełnowartościowych pod każdym względem.

Jednak dobre przygotowanie studenta do pracy zawodowej wymaga stałej, ścisłej współpracy uczelni z Zakładami zatrudniającymi absolwentów. Odnosi się to do okresu praktyk organizowanych obecnie w sposób planowy w czasie studiów, a zwłaszcza do pierwszego okresu pracy po uzyskaniu dyplomu. Bardzo uważnie analizowane są na uczelni wszystkie uwagi krytyczne, dotyczące wiedzy fachowej i wyrobienia społeczno - politycznego naszych absolwentów.

Wśród różnorodnych form wymiany myśli i doświadczeń wychowawczo - dydaktycznych, na Akademii Górniczo - Hutniczej organizuje się w każdym roku zjazdy naukowe byłych wychowanków, gdzie oprócz dyskusji naukowych, inżynierowie ruchowcy wypowiadają swoje krytyczne uwagi i wnioski na temat usprawnienia i stałego podnoszenia poziomu szkolenia technicznego i społeczno-politycznego młodych absolwentów.

Organizowana w bieżącym roku przez uczelnię Sesja Naukowa połączona ze zjazdem byłych wychowanków w dniach 19 i 20 czerwca będzie najlepszą sposobnością do szczegółowego przedyskutowania dezyderatów oraz zgłoszenia konkretnych wniosków.

Korzystając z okazji zapraszam przedstawicieli Kierownictwa Kombinatu Kędzierzyńskiego i zatrudnionych w Kombinacie absolwentów naszej uczelni do przybycia na powyższą Sesję.

PROF. D. SMOLEŃSKI
Rektor Politechniki Wrocławskiej

List pomaga nam w przygotowaniu sesji

List otwarty Kombinatu Chemicznego w Kędzierzynie skierowany do pracowników nauki i studentów, ostrym światłem oświecił najtrudniejszy i najważniejszy problem pracy wyższych uczelni technicznych — problem wychowania socjalistycznych kadr inteligencji technicznej.

Problem ten jest jednocześnie syntezą nauki i nauczania. Dlatego więc, jeżeli wychowanie nowych kadr inteligencji okazuje się w praktyce powierzchowne, to pod znakiem zapytania stoi też problem nauki i dydaktyki.

Trzeba stwierdzić, że najlepszą bronią w walce o wychowanie pełnowartościowego absolwenta jest niewątpliwie treść i metodyka nauczania, zarówno przedmiotów społecznych jak i przedmiotów fachowych. Oczywiście ten najważniejszy środek, którego nie wykorzystuje się w pełni na naszej uczelni, nie jest jedyny. Za podstawę społeczną absolwenta, prócz pracowników nauki odpowiedzialne są: organizacja partyjna i organizacje młodzieżowe.

Nieudana sesja egzaminacyjna jest dowodem nie tylko niedociągnięć w pracy dydaktycznej, lecz przede wszystkim w wychowaniu. Jest dowodem, że w ciągu semestru praca wszystkich komórek uczelni, powołanych do spełniania funkcji wychowawczej, była niedostateczna. Przykład niedostatecznej pracy wychowawczej, niewypełniania swej roli przez pracowników nauki, organizacje młodzieżowe i samą młodzież, mieliśmy na Politechnice Wrocławskiej w czasie ostatniej zimowej sesji egzaminacyjnej, której wyniki były bardzo słabe.

Obecnie, celem udzielenia realnej odpowiedzi towarzyszącemu w Kędzierzynie, lepiej przygotowujemy sesję letnią.

Oabywające się na terenie uczelni, na wszystkich wydziałach i latach studiów, zebrania produkcyjne, wydziałowe na celu, w oparciu o list otwarty, dokonanie przeglądu dotychczasowych przygotowań do sesji, przeanalizowanie pracy i znalezienie konkretnych środków zaradczych. Zebrania produkcyjne, w których biorą udział pracownicy nauki i studenci, wskazują studentom, mającym słabe wyniki w nauce przyczyny takiego stanu rzeczy, omawiają środki naprawienia błędów, usunięcia braków.

Wyższa uczelnia techniczna obowiązana jest dostarczyć dla gospodarki i kultury narodowej określoną ilość dobrze przygotowanych zawodowo i politycznie absolwentów. Zadania te spełniamy tylko wtedy, jeśli do ich realizacji przyczyniają się wszyscy pracownicy uczelni, wszystkie jej organizacje i cała ucząca się młodzież.

Jesteśmy już w przededniu letniej sesji egzaminacyjnej. Jest jeszcze czas, aby z błędów sesji poprzedniej wyciągnąć wnioski i do nowej sesji egzaminacyjnej przystąpić z takim przygotowaniem, by jej wyniki gwarantowały, że przyszli absolwenci spełnią wymagania Kombinatu w Kędzierzynie, spełnią wymagania wszystkich zakładów w Polsce, wymagania klasy robotniczej, Partii i Rządu.

List do redakcji

Niech nasi absolwenci świadczą o nas

Życie studenta Politechniki składa się z różnych elementów. Z codziennego trudu, okresów specjalnie wyłożonej pracy — okresów sesji egzaminacyjnych, krótkich chwil wypoczynku, zabawy, spotkań z dziewczyną... no i... odrobiny marzeń.

Zatrzymajmy się na chwilę na tych marzeniach. Mniej więcej wygląda to tak: ogromna fabryka, czotowy obiekt planu sześciokątnego lub też biuro projektów, gdzie pracuje się i wykłada plany przyszłych miast i zakładów. Dalej stanowisko odpowiedzialne, ośrodek — rzecz prosta — wielki. Po pewnym czasie pokaże co potrafi.

Marzenia nie zawsze zupełnie realne, ale to nie jest jeszcze najgorsze. Częstość młodsi studenci nie potrafili sobie stworzyć nawet tak lukrowanego obrazu swojej przyszłej pracy. Nie porówna ich przyszłość, jeszcze nie zapalili się...

Obydwie postawy studenta są odbiciem złego stanu pracy organizacji ZMP-owskiej. Ten z wielkimi planami pewnie chodził na zebrania, gdzie mówiono o tzw. wielkiej polityce, ten drugi na zebraniach z dwugodzinny referatami o sposobach skracania zebrań i usprawnieniach w wychowaniu młodzieży. Obydwom nie pokazano piękna codziennej pracy, żmudnej walki o zbudowanie socjalizmu — nie tylko w wielkich miastach — nie pokazano prawdziwych perspektyw.

Ażby zbudować Nową Hutę trzeba było zacząć od rozdeptywania błota, na wietrze i mrozie, na bezludziu. Poprzez takie błoto, poprzez pierwsze cegły kładzione w fundament, niełatwo jest ujrzyć całe miasto, nową wspaniałą fabrykę, czy szkołę, niełatwo wyobrazić sobie zrebry socjalizmu. Dopiero zdając sobie sprawę z trudności przyszłego zawodu — można być przygotowanym do niego, być dojrzałym inżynierem.

Przyszłe miejsce pracy, to nie tylko warsztat, nie tylko budowa, ale również żywy organizm społeczny — to ludzie, których poziom polityczny, świadomość decydująca o produkcji, o postępie. Miarą jego pracy będzie nie tylko zdolność wykonywania zadań fachowych, ale w nieminiejszym stopniu jego po-

stawa polityczna, aktywna pomoc w rozwoju świadomości danego zespołu.

Do tych zadań trzeba przygotować się już na uczelni. Z pomocą przyszło nam nasze studenckie czasopismo POPROSTU, które podjęło cenną inicjatywę wędrowki śladami absolwentów.

I tu pękła bomba. Studenci z wielkim zainteresowaniem przeczytali o blaskach i cieniach swej przyszłej pracy, młodsi koledzy czytając o Olku Grodeckim mówili: morowiy chłopak, nie zawiódł. Profesorowie również dyskutowali te artykuły.

Szereg tego rodzaju artykułów zamieszczonych w POPROSTU pomógł nam w pracy. Studenci widzą na przykładzie konkretnych ludzi jak będzie wyglądała ich przyszła praca, co ich czeka i jak będzie ich oceniać klasa robotnicza. Naszej organizacji ZMP-owskiej podsunęło nowe formy pracy, ukazano wyraźnie konkretny cel wychowania nowego człowieka. Walka o lepsze wyniki w sesji egzaminacyjnej przestaje być celem samym w sobie, bardziej konkretyzując się zadania II Zjazdu PZPR.

Ażby jeszcze lepiej poznać problemy przeszłej pracy zawodowej naszych studentów, żeby lepiej przygotować się do sesji letniej i praktyk zawodowych, zorganizujemy spotkania z absolwentami naszej uczelni. Opowiedzą nam oni nie tylko o tym, jak pracują, ale również wskażą na to, czego nie dała im szkoła, jakie błędy popełniła organizacja ZMP.

Artykuły o absolwentach wykazują też jasno naszej profesurze, że istnieje (i to dosyć ścisły) miernik ich pracy, może trochę względny ale jednak realny i w każdym razie podniecający.

Reasumując wszystkie te uwagi trzeba stwierdzić, że artykuły te zmobilizowały nas do sesji letniej, stanowiąc podstawę do dyskusji w kołach ZMP i grupach studenckich. Bardziej świadomie będziemy się bić o wyniki nauczania — o naszą produkcję.

Rzucamy uczelniom Polski wezwanie do podjęcia hasła: „NASI ABSOLWENCI ŚWIADCZĄ O NAS”.

WIESŁAW NOWARA
sekretarz KU PZPR
Politechniki Krakowskiej



Na zdjęciu: inżynierowie z Katedry maszynoznawstwa Politechniki Krakowskiej udzielają porad racjonalizatorskich.
Foto inż. Z. Patasiński

Zobaczyliśmy potrzeby przemysłu

Uwagę całego aktywnego ZMP-owskiego, a szczególnie wydziałów chemicznego, mechanicznego, elektrycznego i mechaniczno-energetycznego przykuł swą aktualną treścią list napisany przez kierownictwo Zakładów Kędzierzyńskich. Niekiedy z nas przypomniały sobie nazwiska wymienione w artykule, na przykład kolegi Franika. Pamiętamy jak pracowaliśmy z nimi w ciągu studiów, gdzie tkwiły opory i niedociągnięcia w wychowaniu nowego specjalisty. Zaczęliśmy na gorąco w dyskusji omawiać elementy procesu wychowania naszej młodzieży, bo przecież artykuł otworzył nam szeroko oczy na niewłaściwa jeszcze prace naszej organizacji.

Zobaczyliśmy dobitnie czego oczekuje od nas nowobudujący się przemysł socjalistyczny. Doszukaliśmy się szeregu braków w politycznym przygotowaniu naszych absolwentów do przemysłu, to znaczy braku właściwego współzycia i oddziaływania na swoich współpracowników oraz braku właściwego udziału w ruchu racjonalizatorskim, nowatorskim i współzawodnictwa pracy. Nasze niedociągnięcia przejawiają się również w szkolarskim traktowaniu nauki przez naszą młodzież, w niewłaściwym rozłożeniu programu nauczania, które w wielu wypadkach nie zabezpieczało studentom umiejętności stosowa-

nia zdobytej wiedzy w praktyce, w złym prowadzeniu i wykorzystywaniu praktyk wakacyjnych. Nie potrafiliśmy wyrobić wśród młodzieży zamiłowania do zawodu. Przeprowadziliśmy na ten temat pogadanki jeszcze we wrześniu dla pierwszych lat, ale nie prowadziliśmy tej pracy przez cały czas studiów.

Zebrania naszych grup studenckich nie stoją na właściwym poziomie, częstokroć są długie i nudne, nieprzygotowane, a nierzadko trzeba je odwoływać z powodu słabej frekwencji, co miało miejsce kilkakrotnie na III roku wydz. chemicznego w grupie III. Wyraźnie przejawia się wśród studentów brak umiejętności stosowania w życiu codziennym nauk marksizmu-leninizmu, traktuje się je jako nauki same dla siebie. Gabinet marksizmu - leninizmu jest rzadko odwiedzany przez naszą młodzież.

Opiekunowie grup studenckich często nie rozumieją swego zadania, ograniczając się tylko do administracyjnych form pracy. W większości tłumaczą się brakiem czasu. A jednak nie to jest przyczyną, gdyż na przykład inż. Kółkowski mając szereg funkcji i będąc opiekunem grupy — wywiązuje się b. dobrze ze swych obowiązków. Nie tylko zna bolączki studentów swej grupy, ale niesie im pomoc na każdym kroku i nie wymawia im braków czasu. Nic więc dziwnego,

że grupa inż. Kółkowskiego osiąga w sesji dobre wyniki uzyskując w terminie wszystkie zaliczenia.

Widzimy doniosłą rolę listu Zakładów Kędzierzyńskich w nadchodzącej sesji egzaminacyjnej. Jest on mobilizującym czynnikiem dla szybkiego wcielenia w życie wskazań IX Plenum i II Zjazdu PZPR oraz XIV Plenum ZG ZMP.

List ten dyskutujemy w grupach studenckich. Pozwala nam on jeszcze bardziej skonkretyzować i wyrazić potrzebę twórczego i głębokiego opanowania wiedzy i podniesienia wyników nauki w nadchodzącej sesji. Wskazał on naszej młodzieży potrzebę rzetelnego przygotowania się do przyszłego zawodu. Propagowanie i dyskutowanie treści listu przez spotkania z absolwentami naszej uczelni, a jednocześnie pracownikami Zakładów Kędzierzyńskich daje nam gwarancję odpowiedniego wykorzystania praktyk wakacyjnych. Jednym z czynników, mających niewątpliwie wpływ na głębsze i rzetelniejsze opanowanie wiedzy przez studentów, jest praca STN. Ścisły kontakt z ruchem racjonalizatorskim w przemyśle rozwija twórczą i badawczą pracę naukową studentów,

popularyzuje najnowsze osiągnięcia techniczne.

W czasie sesji staramy się naszej młodzieży zapewnić wszelkiego rodzaju rozrywki kulturalne po wyłożonej pracy. Zapewniamy możliwość uczestnictwa na filmach, w teatrach, wystaraliśmy się o bilety na operetkę. Zorganizujemy wieczornice taneczne, na których młodzież będzie informowana jak ich koledzy i koleżanki zdają sesję, które grupy zgłaszają się i zdają egzaminy w 100%.

Nasze bursy będą w czasie sesji odwiedzane przez dziekanów i profesorów oraz naszych aktywistów niosących bezpośrednią pomoc, szczególnie kolegom z lat młodziezych. Należyte zrozumienie listu Zakładów Kędzierzyńskich pozwoli wszystkim studentom jasno zdać sobie sprawę ze słuszności linii naszej Partii i Rządu wyrażonej w uchwałach II Zjazdu PZPR.

EUZEBIUSZ MENDRECKI
St. instr. agit. prop. ZU ZMP
Politechniki im. W. Pstrowskiego
Gliwice

Perypetie z konkursem

Przez kilka miesięcy trwał na naszych uczelniach Konkurs Czytelniczy. Była to akcja zakrojona na bardzo szeroką skalę, dająca pole do popisu studenckiej pomysłowości i inwencji. W projekcie Rady Naczelnej ZSP, która ogłosiła Konkurs w marcu br. — uczelnie miały zająć barwnymi afiszami, życie kulturalne wzbogacić się o jeszcze jedną, pozytywną i atrakcyjną formę pracy, do Komitetów Uczelnianych napływały tysiące prac.

Tymczasem marzenia nie przetrwały w rzeczywistości. Konkurs na ogół nie zainteresował, często w ogóle nie trafił do studentów i jak to się mówi popularnie — nie chwycił.

Szukać powodów takiego stanu rzeczy w rzekomej bierności naszych kolegów — byłoby zbyt wielkim uproszczeniem sprawy. Powodów trzeba było poszukać dokładniej i głębiej. Dlatego też udał się do Lublina, na tamtejsze młode uczelnie: Uniwersytet i Akademię Medyczną.

Na korytarzach lubelskich uczelni, w Domach Studenckich, w świetlicach brak jakichkolwiek śladów Konkursu. Nie ma tu plakatów czytelniczych, gazetek ściennych poświęconych tej akcji, za wiadomości o konkursie, czy wieczorkach literackim, brak wystaw książkowych. Fakt ten nasuwa przykre refleksje na temat losów Konkursu w tym środowisku.

I istotnie, dokładniejsze informacje potwierdzają przypuszczenia. Na UMCS do udziału w Konkursie zgłosiło się 100 osób, na AM dzieje się nie lepiej. Spośród 4000 studentów tej uczelni tylko 110 okazało chęć wypełnienia ankiety czytelniczej. Na chęciach się zresztą skończyło — w terminie przewidzianym w instrukcji RN ZSP na „ocenę oddanych prac i całości kampanii na uczelni” — do 5 maja — nie wpłynęła ani jedna praca.

Czyżby wynikał z tego wniosek, że nie ma co oceniać?

Na pewno nie!

Głównym zadaniem Konkursu Czytelniczego było rozbudzenie wśród studentów zamiłowania do książki. Cel na pewno słuszny i wart zachodu. Sąd — „studenci na ogół mało czytają” — raczej potwierdza rzeczywistość i dobrze się stało, że Zrzeszenie przystąpiło do pracy nad zmianą dotychczasowej sytuacji. Nie należało jednak sprawę czytelniczą traktować jako jeszcze jednej z wielu inicjatyw przez RN akcji, ale raczej jako długotrwałą kampanię, której fragmentem, a nie zamkniętą w sobie całością byłby konkurs.

Przelamanie złych tradycji czytelniczych na wyższych uczelniach wymaga poważnego nakładu wysiłku, wiele cierpliwości i pomysłowości, wreszcie systematycznej pracy. Każde poczynanie musi być do kładnie przemyślane i przygotowane — aby zostało uwieńczone powodzeniem.

Nieudany przebieg konkursu w środowisku lubelskim, a także, jak o tym mówią listy wielu korespondentów, i w innych uczelniach naszego kraju był spowodowany błędami i niedopatrzzeniami okresu przygotowawczego.

O Konkursie Rada Naczelna ZSP zawiadomiła Komitety Uczelniane

w sposób niesłychanie administracyjny. W pierwszych dniach marca rozłożono instrukcję, której nie można zarzucić braku konkretności czy rzeczowości, jednakże swego zadania nie spełniła. W ślad za biuletynem nie rozjechali się instruktorzy by sprawdzić jak akcja przebiegała w razie potrzeby pomóc. Tymczasem sformułowania w rodzaju: „Konkurs trwać będzie od marca do maja... w związku z tym... winna się rozpocząć kampania propagandowa czytelnicza na każdej uczelni...” zabrzmiały dla kierowników PKM jak rozkaz i wywołały rozpaczliwe westchnienie: „Jeśli i to na moją głowę”.

Formalnie zastosowano się do założeń RN. Mężowie zaufania ponieśli ankiety do grup, wybrano Uczelniane Komitety Organizacyjne. Zabrały się one jednak do pracy przy konkursie bardzo opieszale, nie wykazując żadnej inicjatywy. Fakt podobny do tego, który zaistniał na UW (i został wyśmiany w „Pokrzywach”) zdarzył się i na UMCS. Instrukcja została powielona i bez przejrzenia rozłożona na wydziały, nikt więc nie zauważył, że w wielu miejscach była zupełnie nieczytelna.

O innych formach propagandy właściwie nie pomyślano. Rozlepiono tu i ówdzie afisze — bądnymy szczerzy — nieładne, dość srogawe i niewiele o Konkursie mówiące, a już o zrobieniu gazetki ściennych poświęconych czytelnictwu studenckiemu nie chcieli słuchać. — „Mają zrobić „Błyskawice”, trzeba pomyśleć o gazetce pierwszomajowej...”

Nic więc dziwnego, że na UMCS wielu studentów do dziś dnia nie wie o Konkursie nie konkretnego. Trudno mieć do nich żal, można go natomiast mieć do POPROSTU, że „akcję” tę przegapiło.

Okres jej masilenia przypadał na 2 połowę kwietnia i 1 połowę maja, okres (w życiu uczelni i studentów) obfitujący w wiele ważnych wydarzeń. Robi się ciepło i wyjazdy ekip agit. — art. mogą się częściej odbywać. Praca zespołów artystycznych jest w pełnym toku. Zbliżają się eliminacje uczelniane, potem środowiskowe i pochłaniają wiele czasu i uwagi. Nadchodzi 1 maja, studenci pragną, aby na ich uczelni święto wypadło pięknie i godnie. Sesja — każdy przypomina sobie o zaległościach w ćwiczeniach, medycy lat starszych odrabiają staże, nauka indywidualna i w grupach staje się bardziej intensywna.

A przy tym wiosna, ciepło wabią na spacer, na boisko sportowe, przypominają, że w domu tak się dawno nie było. Gdzież w tym nawale zdarzeń i spraw znaleźć czas na dyskusję o książce, nawet jeśli się ją czytało.

I sprawa Konkursu znów idzie na dalszy plan. — „Gdyby to tak w jesieni, w czasie zimy — mówią studenci. Wieczory długie, często nudno siedzieć w swoim pokoju. Chętnie zeszlibyśmy do świetlicy, by posłuchać dobrej recytacji, podyskutować np. o „Herkulesach”, pomówić z literatem o jego twórczości”.

Konkurs wypadł w czasie nie tylko niefortunnym dla studentów, ale i dla literatów, którzy w związku z przygotowawczym Zjazdem, Sesją Rady Kultury i Sztuki mieli wiele zajęć i na ogół nie zgadzali się na wyjazdy do uczelni.

Na UMCS odbyły się zaledwie dwie dyskusje i to raczej nad filmami niż nad książką. Zebranie poświęcone dyskusji nad „Piątką z ulicy Barskiej” doszło do skutku na I r. wydz. zootechnicznego głównie dzięki temu, że sprawą konkursu zajęła się organizacja partyjna. Był to zresztą wyjątek. Organizacja zetempowska UMCS dopiero w momencie, gdy Konkurs właściwie dogorywał, poleciła zająć się nim Zarządem Wydziałowym. Było już zresztą za późno. A co robił cały czas przedstawiciel ZU, który wchodził w skład UKO? Czy nie mógł wcześniej zaalarmować Zarządu o istniejącym stanie rzeczy?

Podsumowanie Konkursu na uczelniach Lublina wypadło negatywnie. Nie można jednak powiedzieć, że Konkurs zupełnie nie przyniósł żadnych korzyści. Wręcz przeciwnie: ożywiły się punkty biblioteczne w DS, kioski książkowe znacznie podwyższyły swoje obroty, wzmogło się zainteresowanie literaturą współczesną, która zaczęła krążyć z ręk do ręki, z pokoju do pokoju. Ale jest to „kropla w morzu” wobec zadań jakie Konkurs sobie stawiał, wobec sytuacji czytelniczej na naszych uczelniach. Fakt, że Konkurs na ogół się nie powiódł, nie powinien Zrzeszenia zniechęcać do tego rodzaju imprez, ale raczej zmobilizować w oparciu o tegoroczne wnioski do rozpoczęcia kampanii czytelniczej od pierwszych dni września.

H. GRABOWSKA

Był dwukrotnym laureatem śródomiastowych eliminacji warszawskich to sukces nie lada. Dwa razy I miejsce, jak na tak młody chór (bo powstał w listopadzie 1952 roku) to bardzo dobrze. Będzie więc pozytywny artykuł o pozytywnym zespole.

Z takimi myślami wchodziłem do dwupiętrowej willi, nad której drzwiami wisiała tabliczka z napisem: ul. Czerw. nr 7.

*

Trudno mi było dowiedzieć się coś konkretnego o blisko 120-osobowym chorze Akademii Medycznej w Warszawie. Kogokolwiek bym nie zapytał o sprawę związane z działalnością tego zespołu, każdy odpowiadał niezmiennie i krótko — Mikuś. Czasami szerzej — Ryszard Mikuś, lub — dyrygent Mikuś.

Ta zмова zaczynała mnie już denerwować. I gdy pewna sympatyczna blondynka zapytana o chór odpowiedziała: to sprawa Mikusa — straciłem cierpliwość. Sprawa niebawem wyjaśniła się.



Ryszard Mikuś — to nazwisko dyrygenta i duszy całego zespołu. Powiada, że nie ma ludzi niezastąpionych. Protestuję przeciwko takiemu sądowi jeżeli chodzi o chór uczelniany warszawskiej Akademii Medycznej. Wszyscy, z którym rozmawiałem, są zgodni co do jednego. Zespół to Mikuś — nie byłoby Mikusa, nie byłoby również zespołu.

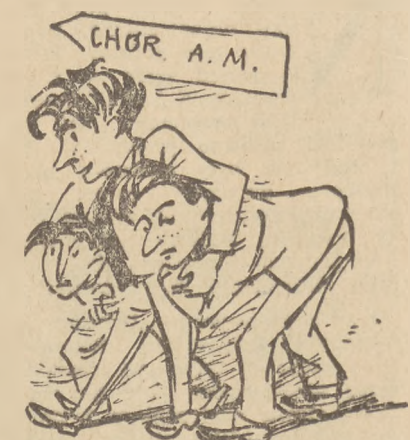
Czy jednak zespół naprawdę istnieje? Przed eliminacjami i na eliminacyjnej scenie liczy on istotnie około 120 członków. Ale po zwycięskich bojach zostaje na placu zaledwie szczupła garstka niedawnych „bohaterów”. Na próby przychodzi około 1/3 zespołu, a i z tych niewielkich chęć i zapal do pracy wykazuje niewielu.

Czasami wydaje mi się — mówi nam dyrygent — że koledy przychodzi tylko dlatego na próby, by nie robić mi przykrości. Przeważnie (oprócz nielicznych) muszę ściągać ludzi za głowę. Nie ma u nas prawdziwego kolektywu. Kolega odpowiedzialny za pracę chóru z ramienia KU w ogóle nie przychodzi na próby. A zainteresowanie nami pojawia się tylko na krótko przed eliminacjami. Zresztą wtedy właściwie powstaje ten zespół, który oglądacie na eliminacjach.

Mikuś nie zraża się jednak trudnościami, ani tym, że jak dotąd znikąd nie ma najmniejszej pomocy (nawet afisze zawiadamiające o próbach, czy występach sam musi rozlepieć). Postawił sobie za punkt honoru stworzyć nie tylko chór, ale również zespół pieśni i tańca.

Gdyby zajrzał do protokołów z narad aktywu ZSP prawie w każdym z nich przy końcu znaleźć można krótką wzmiankę: „W sprawie chóru, z prośbą o pomoc wystąpił kol. Mikuś”. I zawsze nim wyszeł atryment na protokole zapomniano o tym, że zespół trzeba otoczyć istotnie właściwą opieką.

Dwuosobowym zespołem pieśni i tańca, który na razie istnieje



tylko w wyobraźni dyrygenta chóru, nie będzie mógł dyrygować i opiekować się sam Mikuś. Muszą mu w tym pomóc przede wszystkim KU ZSP i ZU ZMP. Jeśli istotnie zespół ten będzie miał taką opiekę, nie wystąpi on w przyszłych eliminacjach jako zespół-widmo, którego realnymi postaciami są jedynie dyrygent i nuty, a będzie to pełnowartościowy kolektyw zaprzysiężonych ze sobą ludzi pod nazwą Zespół Pieśni i Tańca Akademii Medycznej.

*

Gdy wychodziłem z bramy, nad którą lampka oświetlała tabliczkę z napisem „ul. Czerw. 7” — pomyślałem sobie: Nie ma 120-osobowego zespołu, jest tylko jeden zapaleni dyrygent, chłopiec od pisania i rozlepiania plakatów, człowiek od zapraszania na próby, twórca repertuaru, troskliwy zapobiegawca o fundusze dla zespołu — Ryszard Mikuś — student IV roku wydziału lekarskiego. Nie ma uczelnianego chóru, nie ma też pozytywnego artykułu.

JA

Legenda o miłości

Fabula „Legendy o miłości” Nazima Hikmeta oparta jest na starej wschodniej baśni. Myślę, że jednak sądząc, że rola autora sprowadza się tu do zwykłego udratyzowania gotowego materiału, do ułożenia go w dialogi i odsłony. Hikmet nie tylko stworzył nową wersję przestarzałego opowieści o Ferhadzie i Szirin, lecz — co najważniejsze — zbliżył ją do naszych czasów, wlał w nią treść żywą nas dziś interesującą. Przeciwnie bohaterów dramatu-legendy są dla nas głęboko zrozumiałe, co więcej — codziennie spotykamy ludzi, kierujących się w swoim życiu podobnymi zasadami co i bohaterowie „Legendy”.

Tematem „Legendy” jest miłość. Hikmet dał w swojej sztuce wspaniały przegląd odmian tego uczucia, w jednym wypadku pokazując jego wielkość i szlachetność, w drugim zaś — zło i nicość. Sztukę Hikmeta nazwał jeden z radzieckich krytyków filozofią miłości. Sztuka nie ma oczywiście nic wspólnego z traktatem czy rozprawą, ale jakże wnikliwie analizuje ona pobudki miłości, jakże głęboko pokazuje poprzez nie — całego człowieka, jego wartość, jego istotę. Hikmet nie robi tego przy pomocy kontrastu czarno — białego. Nie tak łatwo jest odróżnić w tej sztuce miłość egoistyczną od miłości prawdziwej, zdolnej do rzeczywistej wielkich czynów. Nazim Hikmet daleki jest od upraszczania — rysuje charakter swoich postaci niezwykle subtelnie i skomplikowanie — zgodnie z życiem.

Sztuka od pierwszej do ostatniej sceny utrzymana jest konsekwentnie w konwencji baśniowej.

Rzecz dzieje się w mieście Arzenie, rezydencji Mehmede Banu, córki Szacha Selima. Przepiętna i potężna władczyni każe o sobie mówić, że „sprawiedliwość mierzy wagą jubileksa, a nie drewnianą”; że „w dni obłędów miasta zrucała z siłada najłatwiejszych wojowników”; że „delikatniejsza jest od gąsienicy”. Miasto Arzenie ma jeszcze jedną osobliwość — pozbawione jest świętej wody; co roku wiele tysięcy ludzi ginie z tego powodu. By móc dostarczyć czystą wodę miastu trzeba przebiec Żelazną Górę. Ale dokonanie tego może tylko jeden człowiek — przejdzie bowiem jest bardzo wąską. Wymaga to tytanicznej pracy samotnego człowieka w ciągu dziesięcioleci — jest więc niemożliwością.

Alle o herold ogłasza: Jedyna, ukochana siostra władczyni — piękna Szirin umiera. Nadworni lekarze są bezradni wobec jej choroby. Kto więc ją wyleczy — otrzyma wszystko, czego sobie tylko życzy.

Zjawia się Nieznajomy. Wyleczy on Szirin ale stawia trzy warunki. Najważniejszy z nich podaje piękna Mehmede Banu wielkiej próbie — dla uratowania życia siostry musi stracić swą urodę. Mehmede Banu godzi się na to, Szirin wraca do zdrowia.

Mija jedenaście miesięcy. Siostry w otoczeniu swity zwiędają budowę pałacu dla Szirin. Wybudowanie go jest jednym z trzech warunków, których spełnienia domagał się Nieznajomy. Tu przy malowaniu ornamentów pracuje mistrz nad mistrzami, młody, piękny Ferhad. Mehmede Banu i Szirin od pierwszego wejrzenia zakochali się w

nim. Pięknej Szirin udaje się porozumieć z Ferhadem i zyskać jego wzajemność. Jeszcze jedno spotkanie i kochankowie uciekają. Zazdrośna Mehmede Banu każe ich ścisnąć i oto ranny Ferhad staje przed srogą, ale zakochaną w nim władczynią. Używa jej przebaczenie, otrzyma pozwolenie na posłużenie Szirin, jeśli spełni warunek Mehmede Banu — przebiec Żelazną Górę, by doprowadzić wodę do miasta. Ferhad warunek przyjmuje.

Mija dziesięć lat. Góra jeszcze nie jest przebita. Zjawia się Szirin z radością nową — Mehmede Banu postawiła nowy warunek: jeśli Ferhad zaraz przerywa pracę — ona zgodzi się na ich ślub. Ale Ferhad nie jest już w stanie porzucić swej pracy, na której wyniki z nadzieją czeka cały lud. „W SZERCU MOIM — mówi Ferhad — SZIRIN I WODA POŁĄCZYŁY SIĘ, SAM JUŻ NIEMO WIEM PO CO PRZEBIEGAŁ TEN SKAŁE — CZY PO TO, BYM SIĘ MOGŁ POŁĄCZYĆ Z SZIRIN, CZY TEŻ LUD Z WODĄ”.

Taka jest fabuła „Legendy”. Jednakże waga tego, co chciał powiedzieć Hikmet leży w tym, co reprezentują sobą poszczególne jego postaci. Każda z nich ma swój indywidualny rysunek, przedstawia sobą odrębną koncepcję życiową, odrębną światopogląd.

Może jeszcze zanim przystąpimy do bliższego przyjrzenia się choćby kilku najważniejszym postaciom przypomniemy czytelnikowi, że pisanie swej sztuki Nazim Hikmet rozpoczął w więzieniu tureckim w 1948 roku, odsiadując wyrok, mocą którego został skazany w 1938 r. na 20 lat więzienia za działalność komunistyczną. Nie wątpię, że pomoże nam to jeszcze lepiej zrozumieć głęboko humanistyczny sens sztuki tureckiego poety — nieustraszonego bojownika o pokój i komunizm.

Postacie sztuki autor wyraźnie dzieli na dwie grupy. Zaczniemy od tej, którą sztuka w ostatecznym rachunku piętnuje.

Na czoło wysuwa się tu Mehmede Banu. Prawdę mówi Nieznajomy: „Zadna siostra nigdy tak nie kochała i nie będzie kochać swojej siostry”. Ofiara, którą składa Mehmede Banu jest rzeczywiście wielką, ale w imię czego? Przy pomocy niezwykle subtelnych rysów autor pokazuje nam właściwą rangę tej miłości. Chyba najwyraźniej uchyla Mehmede swą przyłbicę w czwartym obrazie, kiedy mówi do Ferhada: „Nie myśl, że proponuję ci to (przebiec skały — I. W.) mając na względzie lud. Wszystko mi jedno jaką wodę pijesz!” Jej miłość do siostry jest ślupa, ale jakże egoistyczna. Stać ją na wielką ofiarę, kiedy trzeba było ratować życie siostry, tej Szirin, która stała się wprost częścią Mehmede Banu. Jej miłość niezdolna jest natomiast do drugiej ofiary, wydawałoby się znacznie mniejszej — pozwolenia na połącznie się Szirin z Ferhadem. Kocha ona Szirin nie dla Szirin, lecz dla siebie i tylko dla siebie. Miłość jej staje się ziemi.

Nieco inna, ale jakże podobna jest miłość Wezyra do Mehmede. Wezyr ubóstwia swoją władczynię. W chwili gdy traci ona swą urodę, Wezyr chce się zabić. Nieznajomy rzuca się na Wezyra i wyrzuca mu sztylę. Następuje wtedy taka scena: WEZYR: Czemuś mnie powstrzymał? Bądź przeklęty! NIEZNAJOMY: Kochasz jak chór. Tylko dla siebie. Ty tak kochasz, że ci nawet na myśl nie przyszło, by mnie zabić, zamiast podnieść rękę na siebie... Hikmet kilkoma zaledwie zdaniem, ale jakże wyraziście narysował nam szeregi postaci epizodycznych, których postawa życiowa wypływa z podobnego światopoglądu, jaki reprezentuje Mehmede Banu i Wezyr. Należą do nich Lekarz nadworny, który myśli tylko o tym, jakby uratować swoją głowę i to za jaką najtańszą cenę, Astrolog — szarlatan ze swoją dekadentką filozofią, syn Niani Mehmede Banu — Ezzef — niedoszły malarz z wygórowaną ambicją, wyłudający od Ferhada tajemnice zawodu, oraz Derwisz. Warto tu przytoczyć fragment rozmowy między Derwiszem zwiędającym budowę pałacu a starszym majsterem, malarzem Behzadem — ojcem Ferhada.

DERWISZ: A ile lat będzie stał pałac — I. W.?

STARSI MAJSTER: Jeśli się nie spali, jeśli go nie zniszczą, jeśli go będą dobrze utrzymywać — z tysiąc lat przeżyje.

DERWISZ: A potem?

BEHZAD: Potem zgnije, umrze, przecież nie do końca świata stać będzie!

DERWISZ: No to po co się staracie?

BEHZAD: Po co się staramy? A po co oddychasz? To według ciebie rzucić mamy pracę, jeśli się za tysiąc lat rozwalą? A niechże choć jutro! Zbudujemy, rozwalą się — znów zbudujemy.

DERWISZ: Znow się rozwalą.

BEHZAD: A my znów zbudujemy. Najważniejsze jest nie to, że się zniszczy, lecz to żeby zrobić...

Tę scenę można chyba uważać za najostrejsze przeciwstawienie w sztuce dwa światy, dwie klasy ze swoimi wręcz przeciwstawnymi poglądami na świat. Jest jakaś silna nie wiążąca pozornie nie mające ze sobą nic wspólnego postaci Mehmede Banu i Ezzefa, Astrologa i Derwisza, Wezyra i Lekarza. Natomiast inna zupełnie nie wiążąca i Nieznajomego, uosabiającego w sztuce mądrość ludu, i Behzada, z jego wielkim kunsztem i miłością do pracy, no i przede wszystkim samego Ferhada.

Wiele pięknych cech nadał autor swemu głównemu bohaterowi — Ferhadowi. Jest on dla nas wcieleniem szlachetności, piękna, siły, bohaterstwa ludu. Ale chyba najlepiej charakteryzuje Ferhada końcowy akord sztuki pokazujący stowienie się osobistych dążeń Ferhada z dążeniami mas. Ferhad ro-

zumie, że swoje szczęście może znaleźć w szczęściu ludu.

Wielkie zaś mistrzostwo Hikmeta polega na tym, że to wszystko, o czym była mowa powyżej pokazał nam nie deklaratorywnie, lecz w sposób dialektyczny. Każdy ruch i każde słowo mają w tej sztuce swoje głębokie uzasadnienie, służą jakimś celowi. Postacie z baśni żyją na scenie i w życiu.

*

Na zakończenie kilka słów o polskiej prapremierze „Legendy o miłości”, która posłużyła nam za powód do napisania tego wszystkiego. Wystawił ją Teatr Nowej Warszawy w inscenizacji i reżyserii Jerzego Rakowieckiego. Za jej wystawienie należą się teatrowi słowa podzięk. Świetne dekoracje Jana Kosińskiego, sugestywnie oddające baśniowy charakter sztuki, wywołują zachwyt zwłaszcza w ostatnim obrazie przedstawienia. Należy jednak załować, że nie mieliśmy do dyspozycji możliwości ujrzenia tej sztuki na dużej scenie jednego z naszych czołowych teatrów.

Poważne zastrzeżenia budzi natomiast tekst polski sztuki tłumaczony przez Ewę Fischer prawdopodobnie z przekładu rosyjskiego. Mało w nim pozostało z poezji, której bogactwo sygnalizuje tekst rosyjski.

Nie mniej poważne zastrzeżenia budzi koncepcja reżyserska przedstawienia, szczególnie w ustawieniu najważniejszych postaci. Oto co inscenizator i reżyser pisze o postaciach sztuki:

„Formą sztuki Hikmeta jest baśń, a trzecią miłość. Gotowa do najwyższych poświęceń (!!) miłość siostrzana, którą uosabia Mehmede Banu; zła, egoistyczna miłość Wezyra do władczyni; czysta i gorąca miłość dwójga kochanków, Szirin i Ferhada; miłość malarzyska niani i Ezzefa; miłość do zawodu i do sztuki u Behzada, Ferhada i Ezzefa (Rakowiecki stawia te postaci na równie płaszczyźnie — I. W.). Nawet lekarz nie jest wolny od tej namiętności i kocha ponad wszystko swoje stare, nikomu już niepotrzebne życie (!!); nawet astrolog rozmaitawny jest w swej — wątpliwej zresztą wartości — poezji, jemu jednak niezgodnej. Miłość jest motorem działania tych ludzi, a jej najróżnorodniejsze przejawy wywołują ostre konflikty w sztuce Hikmet nie kategoryzuje (!!) uczuć swych bohaterów, każde z nich ma w sobie r o w n o r z e d n e (!!) prawo istnienia” (uwagi w nawiasach i podkreślenia moje — I. W.)

Każde niemal zdanie z powyższego cytatu (a nieestetycznie on pełne pokrycie w inscenizacji sztuki Hikmeta) świadczy chyba o jakimś nieporozumieniu.

IGNACY WANIEWICZ



Główni bohaterowie „Legendy o miłości”: Szirin (Maria Janeczka) i Ferhad (Tadeusz Janeczka). Foto COPIA

Inżynier Topolny

Opowieść fantastyczna

(Dokończenie)

Stellarowe zaczerpnięcie Topolnego — w tym zgodni byli wszyscy — przybierało formy ostrzejsze, niż jakiegokolwiek poprzednie. Szczególnie cierpeli od niego najbliżsi koledzy i przyjaciele, a także szeregi wybitnych uczonych — fizyków. Rektor Andrzejewicz opowiadał, jak Topolny zjawił się u niego w domu późnym wieczorem pragnąc przedstawić mu jakąś kwestię, pokonał zjednoczony opór całej rodziny, wdarł się do łazienki, w której rektor brał właśnie kąpiel i wciągnął go w dwugodzinną rozmowę, w czasie której obaj rysowali wzory palcem na zapoconym parałustrze. Docent Szyliński skarżył się publicznie, że Topolny przyszedł do konsultatorium fizycznego na jego oddczyt o szybkich elektronach, odciągnął całą dyskusję od właściwego tematu i skierował ją na sprawę nieszczęsnego stellaru. Wreszcie bibliotekarz Instytutu drżał na sam widok młodzieńca, który nadciągał zawsze kłusem z przepaścią teką, by unieść w niej dziesiątki niezbędnych mu książek. Zwracał się, popatrzone na marginesach hieroglificznymi zapiskami myśli, jakie przychodziły mu do głowy w czasie lektury. Bibliotekarz ścierał grzyzmoły gumką i kłął się, że nie da sobie żadnej książki niechliwnemu czytelnikowi, lecz w końcu ustępował przed jego nieubłaganą postawą.

Oczywiście wszystkie plany zajęć, harmonogramy i podziały godzin dawno poszły w ką. Topolny bądź to przesiadywał w swym pokoju do późnej nocy, zapisując sterty papieru i zaciskając w zębach ołówki, których pogryzionymi szczytkami wypełniał się powoli kosm, bądź to wypadał z mieszkania w krzywo zapieczętym płaszczu, by godzinami snuć się po alejkach parku; w takiej wędrówce od czasu do czasu przysiadł na piętach i kawałkiem uschłej gałązki kreślił wzory na śniegu. Co kilka dni zjawiał się u któregoś z kolegów, najczęściej u Czwartka, by przedstawić w formie wykładu, odbywającego się najczęściej między pierwszą i trzecią w nocy, wyniki swoich samotnych rozmyślań. Przyjaciele nie opuszczali go w potrzebie, owszem, skwapliwie brali się do dzieła i rozbijali w puch każdy nowy pomysł, celowali w tym zwłaszcza logicznie rozumujący erudyta Czwartek, który z godną uwagi cierpliwością powtarzał mu, że synteza stellaru jest niemożliwa.

— Dlaczego? — pytał Topolny, który setki, jeśli nie tysiące razy sam stawiał sobie to pytanie.

— Dlaczego? Ależ zastanów się. Jeśli masz dwa jądra atomowe i chcesz je zespolić, musisz siłą wtłoczyć jedno jądro w drugie, i że tak powiem, „potrzymać” je związane przez jedną trylionową sekundę, czy nie tak?

— Tak.

— Doskonale. Teraz, dlaczego jedno jądro musi przebywać w drugim właśnie co najmniej przez jedną trylionową część sekundy?

— No, bo musi nastąpić wymiana sił jądrowych między cząsteczkami — odpowiadał Topolny.

— Bardzo słusznie, ale dlaczego ta wymiana nie zachodzi natychmiast, lecz trwa jakiś czas?

— Ponieważ siły jądrowe nie działają momentalnie na odległość, ale rozprzestrzeniają się z szybkością skończoną, równą szybkości światła, tak samo jak pole elektryczne, czy grawitacyjne...

— No więc sam widzisz. Wymiana sił rozpoczyna się w miejscu, w którym jedno jądro wnika w drugie, i rozprzestrzenia się, jak kręgi na wodzie po wrzuceniu kamienia. Jądro syntetu ma około 10—12 cm średnicy, i żeby pokryć tę przestrzeń, działanie o szybkości światła potrzebuje właśnie jednej trylionowej sekundy. Tymczasem karbion powolny w ogóle nie dostraja się do jądra, a szybko przestrela je na wylot w ciągu jednej kwadrylionowej... nieprawdaż?

— No tak.

— A więc uodowodnim ci, że synteza stellaru jest niemożliwa; dobrano.

— Dobranie — odpowiadał Topolny wstając. Potem wychodził mocno zgnębiony, ale już po drodze do domu wpadał na nowy pomysł przechrztaenia natury.

Taki stan trwał do lutego; jedyną godną uwagi rzeczą w zachowaniu Topolnego było w owym czasie to, że ze swymi koncepcjami nigdy nie przychodził do Siolły, a profesor przy spotkaniach — widywali się codziennie — o nic nie pytał. Na szcze przyszedł marzec, a z nim wielkie śniegi, które zamieniły okolicę kolonii uniwersyteckiej w pejzaż białych wzgórz. Pewnego szczególnie mroźnego wieczoru ktoś zadzwonił do mieszkania Czwartka, położonego w domku tuż za parkiem Instytutu. Gospodarz otworzył drzwi na szafroka narzuconym na ramię. Późnym gościem był Topolny. Drżał z zimna. Wszedł do pokoju zanosząc się od kaszlu. Czwartek boż słowa poszedł do kuchni i po chwili wrócił z parującym imbrykiem, cukiernicą, chlebem i masłem. Odzignął w szafce butelkę rumu, z apłakarską doładował i odmierzył kieliszek, nalał go do her-

baty i przysunął gorący napój Topolnemu, który z bezmyślnym wyrazem twarzy apatycznie patrzył w płytę stołu. Czwartek znowu się zakrztał, wydobył skądś aspirynę, kazał Topolnemu zażyć dwie tabletki i zapić je herbatą; potem usiadł naprzeciw niego i przypatrywał mu się badawczo. Na koniec odezwał się spokojnie:

— Wcześniej dziś przyszedłeś. Masz co nowego?

Topolny nie odpowiadał, głową nawet nie ruszył, tylko jego dłoń końcami palców spoczywająca na krawędzi stołu jakoś sama obsunęła się w dół. Ten drobny gest powiedział Czwartkowi więcej, niż obszerne wywody. Znowu zapanowało milczenie. Topolny pił herbatę i rozgrzewał się; na policzki wystąpił mu rumieniec.

— Wie-z co — powiedział nagle Czwartek — to wszystko razem dawno przestało mi się podobać. Pracujesz z uporem, tego się nie da zaprzeczyć, ale ty się przecie marnujesz, człowieku!

Topolny nic nie odpowiadał. — Cza-em trzeba być nieustępliwym — ciągnął Czwartek — ale teraz? Co byś powiedział o człowieku, który poświęca życie budowie perpetuum mobile?

Topolny mocniej, niż było trzeba, odstawił szklankę.

— Synteza stellaru, to nie jest budowa perpetuum mobile — powiedział. Rozkaszlał się. Czwartek odczekał chwilę i rzekł:

— Ależ zastanów się. Ta synteza musi iść po drodze „karbion plus syntet”. Tego nie ominiesz. Karbionu, który na wylot przebija ci jądro,

jemu, ba, przewyższającym go wielokrotnie, usiłowali budować jakieś wieczne poruszające się maszyny, marnując całe życie? Gdzie próbiez wartości wysiłku, gdzie pewność, że rozwiązanie w ogóle istnieje? Zmusił się do czytania, przebiegł oczami kilka stron, ale nic nie rozumiał.

Jestem jak wóz bez kierowcy — myślał — muszę sztucznie stwarzać sobie tor, po którym mogę się posuwać i co jakiś czas przychodzi katastrofa: wyskakuję z szyn, wykołuję się, tracę grunt pod nogami. A Czwartek? O, jemu nie trzeba szyn, on sam jest kierowcą, sterownikiem własnego losu. Mój Boże, jak on nie ma żadnych wątpliwości, jak rozumie, co można, a czego nie można... — Niemal z podziwem wspominał zalety przyjaciela: jego umiar, spokój, równowagę duchową... Gdzież mi do tego — zakończył, westchnął i znowu czytał, aż doszedł do miejsca, w którym Weyl podaje swój znany przykład na względność upływu czasu. Na Ziemi mieszka dwu braci bliźniaków. Jeden z nich wyrusza w podróż międzygwiezdną na rakiecie pędzącej z ogromną szybkością. Po powrocie na Ziemi okazuje się, że jest on dużo młodszy od brata, który nie podróżował, albowiem we wszystkich ciałach materialnych, a więc i żywych organizmach, czas płynie tym wolniej, im szybciej się poruszają, tak więc podczas gdy ziem-

COŚ SIĘ STAŁO. Zaświecił lampę. Wzrok padł na odłożoną książkę i od razu sobie przypomniał: z rozpadających się na progu snu myśli ulepił się dziwoląg: że gdyby tak całe laboratorium z kosmotronem postawić na rakiemie i wysłać do gwiazd...

— Był, też czego łamać sobie głowę! — pomyślał. — Idiotyżm jakiś... chociaż... zaraz... zaraz! Usiadł.

Tylko spokojnie... — powtarzał samymi wargami. Upływ czasu w pędzącej szybko rakiemie jest wolniejszy we wszystkich bez wyjątku znajdujących się na niej ciałach. I oto tam, w mknącym pocisku, stoi kosmotron, ta olbrzymia maszyna, bombardująca płytkę syntetu karbionami. Z wąskiego wylotu wypada świszczący płomień cząstek i uderza w metaliczny syntet. Karbiony wnioskają do jego jąder, ale nie przebywają w nich już przez jedną kwadrylionową cząstkę sekundy. Czas płynie na rakiemie wolniej, muszą więc przebywać w nich dłużej... ale to bardzo ciekawe! Siedział w łóżku skulony, obejmując kolana rękami i myślał szybko.

No dobrze, powiedzmy, że wystrzelił całe laboratorium z kosmotronem w przestrzeń gwiazdową. Czy by to coś dało? No, dałoby, czy nie? Rozważmy systematycznie. Więc to jest tak: żeby karbion zespolił się z jądrem syntetu dając jądro stellaru, potrzeba jednej trylionowej części sekundy. Tymcza-

nogi, więc włożył pantofle i kontynuował marsz z kąta w kąt. Więc jakże to jest? Żeby zaszła synteza, jądra syntetu muszą wraz z zawartymi w nich karbionami pędzić z ogromną szybkością. Kosmotron naturalnie nie musi nigdzie lecieć. Może stać, to tylko miejsce, w którym zachodzi reakcja, a więc płytka syntetu musi pędzić z ogromną szybkością. Czy nie dałoby się tego jakoś urządzić? Powiedzmy tak: z kosmotronu wylatuje pęk karbionów i w tym samym kierunku wystrzelimy z armatki pocisk sporządzony z syntetu. Karbiony dogonią go w locie i zajądzie reakcja... Nieprawda, nie zajądzie. Najszybszy pocisk armatni może osiągnąć dwa kilometry na sekundę, a tu trzeba chyżości akurat 150 000 razy większej. Co najmniej — 140 000 razy. Nie, to beznadziejne. Czy jest na świecie sposób rozpedzenia płytki syntetu do takiej prędkości? Nie ma. Wykluczone. Do ciężkiej cholery z tą płytką! Dlaczego nie można jej jakoś tak rozpedzić... Nagle Topolny stanął na miejscu, jakby wpadł na niewidzialny mur. Oczy rozszerzyły mu się, gardło nagle zaschło. Rękami zaciskał skronie. Miał! Miał!

Rzecz była tak prosta... Nie trzeba żadnej rakiety, nie trzeba wyprawiać kosmotronu w gwiazdy, nie trzeba strzelać płytką syntetu. Po co? Trzeba całą reakcję przenieść do wnętrza kosmotronu. Przecież to właśnie tam, w rurze próżniowej kołistej kształtu rozpędza się cząstki materii do szybkości prędkości światła. Energia elektryczna przyspiesza ich lot; krążą wciąż w

wiedzieli już spokojnie Topolny. Rozwinął pakiet, który okazał się zwitkiem wyszarpniętych z brulionu, zapisanych kartek. Profesor zaświecił dużą lampę, zobaczył twarz Topolnego i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

— Co to jest? — powiedział — co pan zrobił z sobą?

Topolny mrugał uśmiechając się bezradnie.

— Ja przepraszam... nie myślałem, że pora tak wczesna, to znaczy późna, ale naprawdę. Siolło wziął go za ramię i skierował w stronę łustra. Topolny ujrzał własną twarz, od czoła po brodę pokrytą granatowymi i niebieskimi pręgami.

— Ach, pomyliłem się, bo bez pióra... pisałem zapalkami, ale — ale niechże pan spojrzy tu, profesorze!

Takie uniesienie brzmiało w jego głosie, że Siolło poddał mu się mimo woli. Stojąc w piżamie, z narzuconym na ramiona płaszczem, patrzył na biegające błyskawicznie palce Topolnego, który rzucając skape słowa objaśnień, rysował plan doświadczenia. W pewnej chwili położył młodzieńcowi rękę na ramieniu.

— Czekać — powiedział.

Poszedł do drugiego pokoju, wrócił z piórem, ustąpił przy stole, przyciągnął do siebie papiery i zaczął pisać. Stawiając znaki z właściwym sobie rozważaniem, najpierw sprawdził rachunek Topolnego, potem wprowadził szereg danych uzupełniających. Topolny poczuł, że nogi miękną mu w kolanach. W głowie miał zupełną pustkę. Tam w przekształceniach, które spływały spod pióra Siolły, ukryty był los jego pomysłu. Usiadł cicho nie śmiąc spojrzeć na obliczenia profesora. Nareszcie ten odetchnął głęboko, odsunął od siebie kartki i spojrział na swego asystenta. Topolny czekał, bardzo blady; już nie śmiesznego nie było w znaczących jego twarz atryamentowych pręgach.

— No tak — rozległ się bas Siolły — więc, zasadniczo, rzecz jest rozwiązana prawidłowo, ale. Wyusunął szczękłę i zatrzymał się na mglinie.

— Ale wątpliwa. Sama zasada syntezy jest bez zarzutu, są jednak trudności — niemałe! Mianowicie stellar wytworzy się wprawdzie, ale zaraz będzie się rozpadał, bo temperatura już z końcem pierwszej sekundy reakcji dojdzie do wartości krytycznej. To znaczy, temperatura środowiska; druga zmienna jest temperatura samego jądra, która w momencie zderzenia przekroczy zapewne pięć miliardów stopni; tutaj macie to, na ym wykresie.

Podsunał Topolnemu kartkę.

Młodzieniec patrzył przez chwilę nic nie rozumiejąc; powoli znacznie spłotu krzywych dochodziło do jego świadomości. Nagle porwał pióro i zaczął liczyć. Kiedy podniósł głowę, oczy mu jaśniały.

— No to niech reakcja trwa tylko pół sekundy — powiedział — potem włącz się kosmotron...

— To nie takie proste... burknął nachmurzony Siolło. Pochyliwszy swą wielką, kędzierzawą, siwą głowę, zdawał się przez zmrużone powieki śledzić coś w ciemności pod stołem.

— Panie profesorze...

— Co?

— Cz...

Topolny nie dokończył, ale profesor go zrozumiał.

— Czy spróbujemy? Hmm... właściwie nasz kosmotron jest za słaby — potrzebny urządzenie potężniejszego; w normalnym reżimie pracy nic się nie da zrobić.

— Kosmotron można przeczaić — przez krótki czas — podpowiadał szybko Topolny.

— Właśnie o tym myślę. To dosyć ryzykowne, uzwojenia mogą się spalić. I patrzcie — podniósł nagle głowę — jeszcze niedawno byliśmy przekonani, że moc tego smoka zadolowi nas na dziesiątki lat! Topolny nie słyszał go.

— Panie profesorze — powiedział cicho — a gdyby tak nie wylaczać kosmotronu?

— Jak?

— Powiadam: gdyby nie wylaczać prądu, tylko użyć rury o podobnym przekroju, jak w betatronie, i... — Aha i wyprowadzić z niego wytworzony stellar pomocniczym polem odchylającym? Gdyby się to udało, byłoby niezłe... dajcie no pióro... Pochylił nad papierami, rysowali i liczyli, porozumiewając się pojedynczymi słowami. Nareszcie Siolło wyprostował się, syknął i skrzywił się, pocierając grzbiet.

— Cierp ciału, kiedyś chciało... — powiedział.

Zapanowało milczenie.

— Więc, profesorze...? — zapytał jakoś ostrożnie Topolny.

— Co?

— Kiedy zaczynamy?

Siolło sapnął. Potem wielki, brzydki, górujący wzrostem nad Topolnym przyciągnął do siebie asystenta, objął go równie mocno, jak niegdyś, za czym odwrócił się do niego tyłem i rzekł:

— Chodźmy do łazienki. Zdaje się, że i ja umazalem się atramentem.

Pierwszą część opowiadania „Topolny i Czwartek” — ze zbioru opowiadań „St. Lema, które wydają nieubawem nakładem wyd. „Iskry”.



też palcem nie przytrzymasz. Mówię do ciebie jak do brata: rzuć to. Daj temu pokój. Odpoczniesz, rozglądaj się: jest więcej ciekawych problemów.

Topolny chciał się odezwać.

— Nie mów nic — szybko powiedział Czwartek. — Nie będę teraz z tobą gadał. Lecisz z nóg. Idź do domu, połóż się i prześpij wszystko; jak będziesz chciał, jutro porozmawiamy o tym dalej, chociaż Bóg mi świadkiem, nie wiem, o czym by tu jeszcze mówić: rzecz była niemożliwa od samego początku. Wiesz, że cię lubię i nie chcę cię obrażać, ale gdybyś zdobył się na obiektywne spojrzenie z boku, sam przyznałbyś, że to śmieszne: dwudziestoparoletni asystent przeciw czolowemu najwybitniejszym fizykom amerykańskim. No idź już, idź. Czekał, dam ci proszek nasenny. Masz.

W przedpokoju Topolny z takim impetem naciągnął rękaw płaszcza, że dał się słyszeć odgłos rozzdzierania podszewki. Mruknął coś pod nosem, zatrzasnął za sobą drzwi i poszedł do domu. Mieszkał ledwo dwieście kroków od Czwartka. Kiedy zdjął u siebie płaszcz, ujrzał związające z rękawa długie strzępy podszewki, usiadł więc przy lampie i jął cierpliwie cerować. Nie zależało mu wcale na tym, by mieć cały płaszcz, lecz uznał, że życie będzie niezłym sposobem uspokojenia nerwów. Skończywszy pracę, przez chwilę oglądał swoje dzieło, po czym westchnął ciężko i zasnął do zesztytu ze wzorami, ale już po dziesięciu minutach miał dość tego zajęcia. Zesztyt pościół na podłogę, a Topolny w ciągu kilkunastu sekund rozebrał się i wskoczył do łóżka.

Teraz dopiero poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Nie mógł zasnąć. W głowie, gdy przymknął powieki, poczynęły krążyć momenty kwadrypolowe, czynne przekroje pochłaniania, spiny, funkcje falowe i pola mezonowe. Przewracał się z boku na bok, w końcu zaświecił lampę przy łóżku i z półeczki wziął pierwszą książkę jaka się nawinęła; były to elementy teorii względności Weyla. Czytał niezuważnie i co jakiś czas łapał się na tym, że rozmyśla z oczami wlepionymi ślepo w jakiś miejsce tekstu. Czwartek miał rację — czy nie było mania-ków, którzy z uporem równym mo-

ski brat postarzał się o lat kilkadziesiąt, brat — podróżnik gwiazdowy przeżył ledwo lat kilkanaście.

Tutaj uwaga Topolnego znowu się rozproszyła. Wspominał o tym, z jaką pewnością przed kilku miesiącami mówił do Siolły, że nie przyjąłby gotowego rozwiązania problemu, i usta wykrzywił mu ironiczny uśmiech.

— Coż za beczelna pewność siebie — pomyślał. Z książką wspartą o kółdre zapatrzył się niewiedzącymi oczami. Hm, gdyby tak można wyprawić się w gwiazdową podróż i powrócić, przeżywszy kilka lat, podczas gdy na Ziemi upłyne tymczasem wiek cały, może bym się dowiedział, czy synteza stellaru jest możliwa. Może do tego czasu odkryte zostaną jakieś nowe tajemnice jądra, otworzą się nieznane dziś drogi... Powoli ogarniała go senność. Odłożył książkę i zgasił lampę. Świat rozchwiewał się, myśli topniały, niki w ogarniającym wszystkim mroku. Wtem digneł jak od uderzenia. Uniósł głowę. Co to było? Jakiś zwid na skraju snu? Znowu się położył, znowu jawa opuszczała go, nagle, po raz drugi, owo wewnętrzne uderzenie: nie głos z dala, nie myśl konkretna, ale gwałtowny niepokój. Serce uderzyło mocniej. Usiadł w ciemności na łóżku. Co to znaczyło? Nie wiedział. Miał równie silne, jak nie dające się sprecyzować wrażenie, że na granicy snu i jawy błysła mu i przepadła natychmiast jakaś myśl niezmiernie ważna. Wyteżał pamięć do ostatnich granic, lecz uwaga, skierowana w głąb świadomości, wykrywała tylko strzępy, bezsensowne potworki myślowe. Krągał w ciemnym labiryncie co chwila natykał się na ślepe uliczki. Miał nieznosne uczucie człowieka, który zapomniał jakieś słowo i daremnie szturmuje w jego poszukiwaniu pamięć. Zrezygnowany, ułożył się raz jeszcze do spoczynku. Głowa nie bolała go właściwie, ale nalała była ołowiem. Czy ta noc nigdy się nie skończy? Żeby już nadszedł świt, który zdumieł te obłądne majaki! — przemknęło mu przez myśl. Po raz trzeci ogarnęła go senność i po raz trzeci obudził się z bijącym głośno sercem. Było to jakby działanie skryte w nim istoty, która nie pozwalała wylądować świadomości, która zmuszała do czuwania, ponieważ

sem, wystrzelony w jądro, przebywa w nim tylko przez jedną kwadrylionową, to znaczy tysiąc razy za krótko. A gdy kosmotron będzie mknął z szybkością bliską światła? Wtedy czas w głębi atomów będzie płynął wolniej, karbiony będą w jądrach stellaru przebywać dłużej... będą przebywać dłużej? Czy to pewne? Ależ tak, relacja einsteinowska mówi o tym jasno, a zresztą znane są doświadczenia z mezonami: mezon, poruszający się ze znaczną chyżością, rozpada się znacznie wolniej, trwa dłużej od mezonu spoczywającego. Tak, można by dobrać taką szybkość rakiet, żeby karbiony przebywały w jądrach syntetu przez jedną trylionową sekundę. No dobrze, ale czy to coś da? Chyba nie, bo wszystkie w ogóle procesy materialne ulegną zwolnieniu w jednakowym stopniu, tak więc karbion będzie wprawdzie przebywał wewnątrz jądra syntetu dłużej, ale też będzie się z nim powolniej łączył — ejże, czy na pewno? Zespolenie odbywa się za pośrednictwem sił jądrowych; siły te przenoszą się z szybkością... światła... a szybkość światła nie zależy od szybkości układu, jest zawsze taka sama.

Szybkość światła jest inwariantą!!! — ogromnym głosem krzyknął Topolny i tak jak siedział, w koszuli, bosymi nogami skoczył na podłogę. Dopadł stołu, podniósł zeszyt, rozpostarł go i zaczął rachować. Na drugiej całej ostrze ołówka przysło. Zaklął i rzucił się za scyzorykiem. Mijały sekundy, które zdawały się wiekami. Scyzoryka nie było. Porwał kalamarz, pudełko zapalek i zaczął pisać, maczając je w atramentcie. Calki jak oszalełe węże wily się po papierze. Przekształcenia wynikały coraz szybciej — ostatni wyraz obwioł grubą ramką, zapalka złamała się, spojrzał na zasmarowane atramentem palce, otarł je we włosy i wstał. Chodził wielkimi krokami po pokoju, oddychając głęboko. Powoli ochłodził. Wrócił do stołu, popatrzył na poplamione kartki. — No tak, pomyślał, i co z tego? Czy można wystrzelić całe laboratorium w gwiazdy? Z czego się tak cieszysz, idioto jeden? Co za nonsens — „wystrzelić kosmotron w gwiazdy”.

Chodził wciąż po przekątnej pokoju; zaczęło mu się robić zimno w



MIJSCOWOŚCI LECZNICZO-UZDROWISKOWE

1. Świeradów
2. Cieplice
3. Szczawni
4. Przerzeczn
5. Rościszów
6. Kudowa
7. Duszniki
8. Polanica
9. Długopole
10. Łądek-Zdrój
11. Głuchołazy
12. Jastrzębia
13. Szczawnica
14. Żegiestów
15. Krynica
16. Iwonicz
17. Busko-Zdrój
18. Nałęczów
19. Ciechocinek
20. Inowrocław
21. Polcyn-Zdrój

WZASY WYPOCZYNKOWE

1. Szklarska Poręba
2. Schr. PTTK na Hall Szrenickiej
3. Przesieka
4. Karpacz-Bierutowice
5. Schr. PTTK im. Broniś. Czecha
6. Jedlina-Zdrój
7. Sokolec
8. Kudowa
9. Sosnowka
10. Polanica
11. Międzygórze
12. Wistła-Ustron
13. Wapiennica
14. Lubostron k/Bydgoszczy
15. Lęzajny
16. Wydmyny
17. Mikolajki
18. Ruciane
19. Rewal
20. Mielno
21. Darlowek

MIJSCOWOŚCI WZASOKURSOWE

1. Rogów
2. Gocin
3. Arturówek

WĘDROWKI KOLARSKIE

- I etap — Poznań — Wrocław
- II etap — Wrocław — Kraków
- III etap — Kraków — Lublin
- IV etap — Lublin — Białystok
- V etap — Białystok — Gdańsk
- VI etap — Gdańsk — Poznań

WĘDROWKI PIESZE

- Szlak I — Karpaty: Zakopane, Bukowina, Czorsztyn, Szczawnica, Piwniczna, Krynica.
- Szlak II — Karkonosze: Szklarska Poręba, Karpacz, Sosnowka, Jelenia Góra.
- Szlak III — Góry Świętokrzyskie: Kielce, Nowe Słupie, Bodzentyn, Zaganańsk, Chęciny, Kielce.

WĘDROWKI KAJAKOWE

SZLAK WISLANY

1. turnus — Kraków — Warszawa
 2. — — Warszawa — Toruń
 3. — — Toruń — Elbląg
 4. — — Elbląg — Toruń
- (Drwęca).
- Szlak Gopio—Notec (Konin — Barcin)
- Szlak Mazurski (Sorkwity — Ruciane Mikolajki).

WĘDROWKI ŻEGLARSKIE

Zalew Szczeciński

Będąc uczestnikiem obozu wędrownego w Karpatach przekonałem się, że obozy wędrownie są wspaniałą formą wypoczynku. Umożliwiają one jednocześnie poznanie piękna naszej Ojczyzny, co dla większości z nas było nieosiągalne w Polsce przedwzrostowej.

„Te dwa tygodnie wędrowki dały nam dużo radości. Mogliśmy poznać bliżej życie ludzi na wsi, nauczyć się żyć w zespole. Uważam, że nowy rodzaj wczasów — turystyka — jest dla nas — studentów wspaniałym, najbardziej korzystnym wypoczynkiem”. Oto wypowiedź kol. Lucjana Sikiwicz, studenta Politechniki Gdańskiej, Jacka Ragona, stud. Politechniki Łódzkiej i Czesławy Niemierko, stud. Akademii Medycznej w Łodzi, uczestników zeszłorocznych obozów wędrownych. Takich wypowiedzi w kronikach obozowych i książkach uwag o wczasach jest bardzo dużo, a wszystkie one mają dwie wspólne myśli: „Wędrowka — to najprzyjemniejszy, przynoszący największe zadowolenia i korzyści rodzaj wczasów”, i druga: „Wiele w przyszłym roku miejsc na obozach wędrownych”.

Czy w bieżącym roku wypowiedzi uczestników będą podobne? Spróbujmy odpowiedzieć sobie na to pytanie na podstawie krótkiego przeglądu szlaków wędrowek i omówienia ich założeń organizacyjnych.

Najbardziej masową, dostępną prawie dla każdego formą turystyki są piesze wędrowki, które w bieżącym roku zorganizowane będą w Karpatach, Karkonoszach i Górach Świętokrzyskich. Najwięcej zwolenników znajdzie z pewnością szlak Zakopane — Szczawnica — Piwniczna — Krynica. Urok polskich Tatr, Podhala, Beskidu Sądeckiego i Pienin, bezpośrednio zetknięcie się z życiem, pracą i twórczością artystyczną górali — to rzeczy, które ściągają na ten szlak dziesiątki tysięcy turystów. Jedną z największych atrakcji tej wędrowki będzie spływ tratwami przełomem Dunajca w najpiękniejszej części Pienin.

Równie ciekawy, a wymagający mniej wysiłku fizycznego będzie szlak Karkonoski na trasie: Szklarska Poręba — Hala Szrenicka — Karpacz — Jelenia Góra. Uczestnicy będą nie tylko podziwiać piękno łagodnych, pokrytych lasami gór, lecz poznawać zabytki, świadczące o polskości tych ziem oraz ciekawe obiekty przemysłowe (np. hutę szkła kryształowego „Józefina” koło Szklarskiej Poręby, największą na Dolnym Śląsku hutę i szlifiernię szkła stołowego i ozdobnego).

Kielce — Lysica — Nowa Słupia — Bodzentyn — Chęciny — Kielce, to trzecia trasa obozów wędrownych, prowadząca przez najpiękniejsze okolice Gór Świętokrzyskich, których tak wspaniały opis dał Stefan Żeromski w „Puszczy Jodłowej”, „Popiołach” i „Echach Leśnych”. Góry Świętokrzyskie są starym ośrodkiem przemysłowym, gdyż jeszcze w okresie przedpiastowskim rozwinęło się tam górnictwo i hutnictwo, czego ślady istnieją dotychczas obok rosnących obiektów budownictwa socjalistycznego.

Wędrowki piesze oparte zostały organizacyjnie na domach FWP (szlak karpacki) lub schroniskach PTTK (szlak karkonoski i świętokrzyski), które zapewnią uczestnikom wędrowek nocleg i wyżywienie. W ten sam sposób będzie można lepiej wykorzystać czas wędrowki, którego sporo poświęcało się w ubiegłym roku na zakup żywności lub czekanie na posiłki w gospodach ludowych.

Czym Pieniny, Karkonosze i Tatry są dla zwolenników wędrowek pieszych, tym jest Pojezierze Mazurskie dla miłośników turystyki wodnej. Wijąca się wśród gęstwy drzew, pokryta nienalutami, uroczna Krutynia; jezioro Beldan, jedno z najpiękniejszych na Pojezierzu Mazurskim; jezioro Ndzkie, otoczone lasami Puszczy Piskiej, tworzące liczne zatoki, z mnóstwem malowniczych wysp i wysepek — wywrą z pewnością na uczestnikach obozu kajakowego na trasie Sorkwity — Ruciane — Mikolajki niezatarte wrażenia i niewątpliwie wielu z

nich wybierać się będzie odtąd rocznie na Mazury.

Powędrujemy — chwilowo tylko po mapie — trasą innego obozu kajakowego: Konin — Barcin, po jeziorze Gopie i górnym biegu Noteci. Okolice te wchodzą w skład ziem, na których zaczynało formować się państwo polskie. Kruszwica, Mysia Wieża — to miejsca bliskie sercu każdego Polaka. Przejeżdżającym przez te tereny uczestnikom obozu kajakowego staną niewątpliwie żywo w pamięci sceny ze „Starej Baśni” Kraszewskiego.

„Wodniaków”, jak również wielu tych studentów, którzy dotychczas nie interesowali się turystyką wodną, zainteresuje z pewnością 4-etapowy, kajakowy „Spływ Wisłą” z Krakowa do Elbląga z zakonczaniem w Toruniu (powrót do Torunia przez szlaki wodne na Warmii oraz rzeką Drwęca). Urok „królów rzek polskich”, wielka ilość historycznych miast i zabytków, położonych nad Wisłą, czyni z niej jeden z najbardziej wartościowych wodnych szlaków turystycznych.

Część zwolenników turystyki wodnej, zamiast poruszać się po wodzie przy pomocy siły własnych rąk, woli wykorzystywać do tego celu wiatr. Żeglarze — bo o nich oczywiście mowa — wybiorą się w tym roku na Zalew Szczeciński, by przez 10 dni korzystać z wody, morskiego wiatru i słońca. Trzeba jednak przestrzec wszystkich, którzy uważają, że siła wiatru uwolni ich całkowicie od wysiłku fizycznego. Do obsługi jachtów potrzeba również mocnych rąk. Jak do wiosłowania, a ponadto elementarnej przynajmniej znajomości sztuki żeglarskiej, bo co zrobi uczestnik wędrowki, gdy padnie komenda sternika: „Lewy fok szot wybierz!” Wszystkim „szczurom lądowym”, którzy wybierają się na wędrowki żeglarskie, pomogą w opanowaniu podstawowych wiadomości z tej dziedziny sekcje żeglarskie AZS.

Wędrownie obozy kajakowe i żeglarskie, w przeciwieństwie do obozów pieszych, będą całkowicie samodzielnie zaopatrywały się w żywność i przygotowywały posiłki. Uczestnicy tych wędrowek będą więc mogli wykazać swe zdolności aprowizacyjne i kulinarne (o możliwościach konsumpcyjnych nie potrzeba mówić, bo te na wędrowkach są nieograniczone). Uczestnicy wędrowek kajakowych będą nocowali w namiotach, a nocujących w messach jachtów żeglarzy ukolyszą codziennie do snu fale Zalewu.

Miłośnicy sportu i turystyki rowerowej, których po każdym Wyścigu Pokoju jest coraz więcej, wezmą udział w studenckim kolarskim „Raidzie dookoła Polski”. Trasa jego biegnie z Poznania przez Wrocław, Kraków, Lublin, Warszawę, Białystok, Olsztyn i Gdańsk — z powrotem do Poznania. Oczywiście uczestnik nie pojedzie na całej, liczącej prawie 3.000 km. trasie, lecz na jednym z sześciu 2-tygodniowych etapów. Trudno w tym miej-

scu dać jakikolwiek, chociażby najbardziej ogólny opis tras; jak ona jest ciekawa i interesująca, o tym przekonają się najlepiej sami uczestnicy.

Te krótkie, szkicowe charakterystyki szlaków grup wędrownych wedy tylko spełnia swój cel, jeżeli zachęcą uczestników do bliższego zapoznania się jeszcze przed wyruszeniem na wędrowkę z przebiegiem trasy, jej okolicą, życiem miejscowej ludności, przeszłością i teraźniejszością tych ziem na podstawie literatury turystyczno-krajoznawczej. Takie przygotowanie zwiększy po-
ważnie korzyści, jakie daje wędrowka.

Dobry przebieg wędrowki w poważnej mierze zależy od dalszych dwu rzeczy: od przygotowania sportowo-kondycyjnego i od właściwego ekwipunku osobistego. W zależności od typu wędrowki, grupa wędrowniowa powinna w maju i czerwcu urządzić wycieczki piesze czy kolarskie, wiosłować i uprawiać lekkoatletykę (odnosi się to do wszystkich typów obozów wędrownych). Największy urok gór, przyjemność wędrowania zamienić się może dla uczestnika w okropny koszmar, jeżeli np. uwiera go but lub ciężki mu niemiłosiernie nadmiernie wyładowany plecak. „Brak odpowiedniego obuwia czy odzieży może wywołać dużo przykrości, dolegliwości czy nawet chorobę” — pisze w swych uwagach kol. Elżbieta Kłęczacka, uczestnik zeszłorocznych wędrowek pieszych. „Również niepotrzebny ekwipunek sprawia dużo kłopotu”. Dotyczy to szczególnie koleżanek, które w ub. roku w wielu wypadkach zabierały ze sobą nadmierną ilość sukienek, a nawet zaopatrywały się... w bućki na wysokich obcasach! A więc przyjmijmy zasadę: „Zabieramy ze sobą tylko rzeczy niezbędne”. Szczegółowy wykaz ekwipunku osobistego otrzymają uczestnicy wędrowek przy skierowaniu.

Pamiętajmy jeszcze o jednym: o przygotowaniu występów artystycznych na trasach wędrowek. Czy to będzie można wykorzystać? — zapytają niektórzy. Jako odpowiedź niech posłuży jedna z kartek-kroniki grupy wędrowniej z Lublina. „Społeczeństwo Chocholowa składa serdeczne podziękowania studentom lubelskim, że w dniu 22 lipca 1953 r. pośpieszyli do nas z Jablonki i pomogli uświetnić ten radostny dla całego narodu polskiego dzień swymi doskonałymi występami artystycznymi. Pamiętajcie nadal w swej nauce i pracy o polskiej wsi, o jej potrzebach kulturalnych” (podpis).

Na wędrowki wyruszy w bieżącym roku prawie 2 razy tyle studentów, co w roku ubiegłym. O tym, czy wszyscy wrócą z wędrowek zadowoleni i wypoczęci, zadecyduje w poważnej mierze przygotowanie uczestników. Reszta — to sprawa dobrej pogody, słońca, a dla żeglarzy — pomyślnego wiatru!

STANISŁAW KACZMAREK

Wiosenne święto

(Dokończenie ze str. 2)

Moskwa, 1 maja wieczorem.

Olbrzymi czworobok gmachów opasał rozległy szeroki dziedziniec. Zapada ciepły, majowy wieczór. W klubie gra muzyka, migają pary w otwartych na oścież oknach. W sali występują artyści najlepszych moskiewskich teatrów.

W taki wieczór przyjemnie jest zebrnąć się gromadą rodaków, zanurzyć się w melodyjny, znaną z dzieciństwa Osetyni, śpiewają potomkowie dumnych Nartów, śpiewają o bohaterach swojego narodu, który walczył za szczęście prostych ludzi. Głosów przybywa. Przybywa też słuchaczy. Zwartym kołem otaczają oni śpiewaków.

Alicjan niesie fandy — osetyńską bałajkę. Już płynnie melodia hongakaft — zaproszenie do tańca. Miękką faluje ramionami Aza Manujewa. Rytmiczny szmud tańczy

już wiele par. Przyklaskują dziesiątki rąk.

Potem dzika lezginka, potem kalarzynka — stare tańce kaukaskich górali. Tak zapewne tańczą dzisiaj w przybranych odświętnych aulach ich bracia, ojcowie i siostry. Tak zapewne śpiewają dziś o szczęściu na zboczach dumnego Kazbeku, w wąwozach Digory, od Alagiru do Chumalagu, nad brzegami burzliwego Tereku.

1 Maj kończy się w naszym Domu Akademickim dopiero... 2 maja rano. A 2 maja także święto — będzie wycieczka statkami po Moskwie — rzecze, przyjeżdża do nas chór pieśni rosyjskiej pod kierownictwem Swiesznikowa, w klubie znów będą tańce i bezpłatne filmy. A potem — po solidnym wypoczynku — od poniedziałku do solidnej pracy.

RYSZARD BADOWSKI
Uniwersytet Moskiewski

„Razem pracować dla przyszłości — jakież cudowne marzenie!”

(Dokończenie ze str. 1)

O jeszcze jednym dowodzie żywego przeżycia się pisarki literatury ukraińskiej pisał niedawno Edmund Jankowski w „Pracach i listach” w artykule „Próby wierszopisarskie Orzeszkowej”, którego fragment na zakończenie przytaczamy.

„Kiedy więc w roku 1887 przyjechała do Grodna na występy trupa artystów „matoruskich”, Orzeszkowa z entuzjazmem odniosła się do tej imprezy, a wrażeniem, jakie wywarł na niej teatr ukraiński, dała wyraz w obszernej recenzji przeznaczanej do Tygodnika Ilustrowanego.

Recenzja ta, zatytułowana „O rzeczy mało znanej” nie ujrzała jednak światła dziennego, gdyż redakcja Tygodnika Ilustrowanego uznała ją za zbyt obszerną. Omiawiała w niej Orzeszkowa wystawioną przez trupę Wasilenki przebróbkę „Niewolnika” Tarasa Szew-

czkeni Streszczając akt II sztuki Orzeszkowa zamieściła wierszowaną przekład dumy Szewczuki na wymienionego utworu. Przekład swój sama tak scharakteryzowała: „przekład czynię, o ile możliwości dostojny, z zachowaniem rytmu i rytmu”.

Zwiewny, lekki wiersz dumy Szewczuki, tak trudny zresztą w swej nieregularnej rytmice do przekładu, nie znalazł w Orzeszkowej najlepszego odtwórcy.”

Zachowana korespondencja Orzeszkowej z Iwanem Franko obejmuje stosunkowo krótki, dwuletni okres. Już jednak z tych kilku przytoczonych fragmentów nie trudno odczytać pełne przyjaźni uczucia Orzeszkowej do ludu ukraińskiego, które akcentować będzie przy różnych okazjach do końca swej pracowitej i twórczej drogi pisarskiej.

MARIAN KUSA



Jedną z największych atrakcji tej wędrowki będzie spływ tratwami przełomem Dunajca.



Niezatarte wrażenie wywrą na nas wijące się wśród gęstwy drzew rzeki i jeziora mazurskie.



Będziemy nie tylko podziwiać piękno dość łagodnych, pokrytych lasami gór, lecz również poznawać zabytki świadczące o polskości tych ziem.
Fot. Aleksandrowicz



Zmęczone nogi najlepiej wypoczywają w takiej oto pozycji.
Foto CAF



Na zdjęciu: główny gmach UMCS.

Foto M. Ślusiewicz

Na wykresy jeszcze czas

Letnia sesja egzaminacyjna na II r. wydz. weterynarii należy do jednej z najtrudniejszych, obejmuje bowiem takie egzaminy jak: podstawy marksizmu-leninizmu, anatomie, biochemię i hodowlę.

Jeżeli chodzi o marksizm-leninizm to duża część studentów przez cały rok wykazywała bardzo słabe zainteresowanie tym przedmiotem. Lekceważenie ćwiczeń wyrażało się między innymi w złym przygotowaniu i w braku konspektów przerabianych zagadnień (np. w grupie ćwiczeniowej, która liczy 30 osób, tylko 5 ma konspekty z ćwiczeń).

Frekwencja na wykładach z tego przedmiotu była najgorsza, a teraz, przed egzaminem, osiągnęła rekordowy poziom; na ostatnim wykładzie było nieobecnych 75 proc. studentów, w tym większość aktywna. Dziwne jest, że fakt lekceważenia przez studentów tak ważnego dla nas przedmiotu organizacja ZMP-owska na naszym wydziale pomija milczeniem, nie stara się zmienić tego stanu. Zarząd Koła i aktywni roku nie robią nic, aby prze-

konać studentów, że jak najlepsze opanowanie tego przedmiotu powinno stać się ich ambicją.

Lekceważący stosunek do marksizmu - leninizmu wyraża się w złym przygotowaniu studentów do egzaminów. Wielu twierdzi, że na przygotowanie starczą w zupełności trzy dni.

Drugim równie trudnym egzaminem w sesji letniej jest anatomia prawidłowa zwierząt. Ten obszerny przedmiot wymaga gruntownego opanowania materiału, wymaga wielu dni wyłożonej pracy. Na naszym roku jest sporo studentów, którym anatomia sprawia duże trudności. Dlaczego więc nikt z aktywno nie zwrócił na to uwagi, aby słabszym studentom zapewnić pomoc? Jest to bardziej potrzebne niż wygłaszanie szumnych zdań na zebraniach czy robienie wykresów i tabelki osiągnięć współzawodnictwa.

Na wykresy mamy jeszcze czas!

WANDA RANDAS
UMCS — Lublin

Studia weterynaryjne trwają 5 i pół roku. są najdłuższymi studiami na uczelniach rolniczych. Wymagają zamilowania, dużej pracowitości są piękne i bardzo potrzebne naszej gospodarce. Powinniśmy mieć wszystkie dane, aby wyjść w teren praktycznie i teoretycznie przygotowani do samodzielnej pracy.

Takie przygotowanie powinien zapewnić nam nowy program, który nie może być wzorowany ani na wydziałach rolniczo - zootechnicznych, ani na lekarskich. Musi to być swoisty program weterynarii gwarantujący jak najpełniejsze przygotowanie do pracy zawodowej. Niestety, w praktyce wygląda to zupełnie inaczej.

Płynność programów na weterynarii stwarza szereg kłopotów, zmiany są zbyt radykalne, nie uwzględniające doświadczeń z lat ubiegłych. Nie dokonuje się wymiany spostrzeżeń między wydziałami, a jest ich przecież tylko trzy: warszawski, wrocławski i lubelski.

Jeszcze kilka lat temu w programie I roku weterynarii była tzw. „propedeutyka weterynaryjna” — moim zdaniem bardzo potrzebny przedmiot, który łączył tzw. „suche” przedmioty (fizykę, chemię, botanikę itp.) z praktyką weterynarii, pogłębiał zainteresowania zawodowe. Tak przedmiot, który pokazywałby głębią potrzebę opanowania tak zwanych „drugorzędnych przedmiotów”, jest nadal konieczny na I roku, a jednak nowy program tego nie przewiduje.

W pewnym okresie na II roku były ćwiczenia z paszoznawstwa — weterynarz musi znać trawy. Zupełnie nie rozumiemy dlaczego ćwiczenia te zlikwidowano. Żywnienie i dietetyka w/g nowego programu wyglądają na razie tak, że studenci lubelscy nie odróżniają trawy od koniczy.

Głównie niepokoi nas fakt trzyletniego opanowywania teorii o bardzo małym podkładzie ćwiczeń. A przecież studia przyrodnicze powinny być oparte głównie na samodzielnie wykonanych ćwiczeniach — oczywiście przy systema-

tycznym pogłębianiu wiadomości teoretycznych.

Mamy bardzo ciekawe wykłady z chirurgii: o myciu rąk, o aseptyce i antyseptyce, o szwach chirurgicznych czy wreszcie o instrumentach, a tych ostatnich — tylko dwie cziny. W tym czasie nawet najsprytniejszy nie zdołałby zapamiętać wszystkich nazw tych instrumentów, których jest przecież cały stos. Ćwiczeń nie mamy, a sama teoria to ulatująca bez śladu kamfora.

Duża, jedna z najpiękniejszych sal byłego pałacu fabrykanta Poznańskiego w Łodzi. Gdy wchodziliśmy do niej portier kładąc palec na ustach powiedział:

— Proszę, tylko cichutko. Egzamin.

Na sali w krzesłach ustawionych w półkole zasiadła komisja egzaminacyjna i kilkunastu studentów. W głębi... stół zastawiony kolacją. Za stołem i wokół niego ci, których za chwilę czeka egzamin.

— Można zaczynać? — zapytał ktoś z komisji.

— Brak tylko win — padła krótka odpowiedź.

Wkrótce na stole zjawiała się butelka z rubinowym płynem i nic

Nasze studia stoją w kolizji z praktyką. Z czym po III roku pojedziemy w teren? Przecież na ćwiczeniach nikomu z nas nie pokazano nawet jak należy robić zastrzyk i jak wyjąłować narzędzia lub opatrzyć ranę.

Jeszcze jedno: Nie chcemy na ćwiczeniach demonstracji. Demonstracje są potrzebne i dobre w czasie wykładów, natomiast na ćwiczeniach chcemy być samodzielnymi. Jak się coś nie uda — wtedy asystent poprawi i pokaże błąd.

Gorzej będzie, gdy pierwszy raz zaczniemy próbować w terenie, gdzie asystenta już nie będzie.

Trzeba się poważnie zastanowić, czy na weterynarii na wzór wydziałów rolnych nie warto wprowadzić 5—7-miesięcznej praktyki dyplomowej. Okazuje się, że dotychczasowe praktyki miesięczne nie zawsze dają możliwości pełnego poznania warsztatu pracy.

ADOLF JANUSZEWSKI
UMCS — Lublin

2 razy dramat

już nie stało na przeszkodzie, by egzamin rozpoczął się.

Aby rozwiązać wszelkie wątpliwości, jak również uchronić wielu studentów przed zbędnymi marzeniami, trzeba wyjaśnić, że wspomniany egzamin zdawali koledzy z Wyższej Szkoły Aktorskiej. Butelka (najprawdopodobniej z barwioną wodą) była nieodłącznym rekwizytem sztuki, w której komisja oceniała umiejętności aktorskie przyszłych adeptów scenicznej muzy.

Chociaż sesja na tej uczelni powinna rozpocząć się dopiero z dniem 1 czerwca — do połowy maja wielu studentów miało już poza sobą po kilka egzaminów. Dlaczego? Gdyby wszystkie egzaminy zostały skomasowane w czerwcu —

studenci musieliby je zdawać w zbyt krótkich odstępach. Dlatego też część egzaminów przełożono na okres wcześniejszy.

Ale nie łatwo powtarzać przerebiony materiał teoretyczny i dokonywać ostatniego szlifowania przed egzaminem („kiedys przecież cały dzień zapelniony jest przez wykłady i ćwiczenia. Toteż różni w różny sposób radzą sobie, by zdać przedmioty teoretyczne przed rozpoczęciem sesji).

Tak więc jedni, (jak np. duża część kolegów z drugiego roku) przestają być na wykładach lub też właśnie w czasie wykładów uczą się do egzaminu („kiedys przecież trzeba się przygotować”). Inni błyskawicznie, na pięć minut przed przysłowiową dwunastą, przerzucają nerwowo kartki notatek i przeznawsz się przed drzwiami egzaminatora („a nuż się uda”) podają się pytaniom. Trudno powiedzieć, kto z nich wybrał mniejsze zło.

Przyczyną przeprowadzania egzaminów podczas całonocnych zajęć jest fakt przeciążenia programu studiów. Czyżby nie było możliwe odciążenie studentów WSA, czy naprawdę wszystkie wykłady są im potrzebne?

Na II roku prof. Lipiec prowadzi wykłady (nb. bardzo ciekawe) z literatury powszechnej, przy czym szczególnie obszernie omawia dramaty powszechne. Ten sam rok obowiązuje również wykłady z dramatu powszechnego, na których studenci dowiadują się tych samych rzeczy. Takich pokrewnych przedmiotów jest na WSA więcej.

Rewizja programu — oto wyliczenia, które zapewniłyby normalne, nieprzeciążone studia na WSA i w konsekwencji uchroniłyby od przeprowadzania egzaminów w okresie normalnych zajęć.

J. A.



Grupa studentów II roku łódzkiej WSA miała pełne prawo do dumy — ich rok w minionej sesji zimowej osiągnął stosunkowo najlepsze wyniki, za co otrzymał proporzec KU ZSP (proporzec i dumę widać na zdjęciu). A jak wypadnie obecna sesja?

Na muzyczne tematy

Projekt zorganizowania konferencji teoretycznej w Wyższej Szkole Muzycznej w Sopocie wywołał niedowierzanie, a nawet ironiczne uśmiechy na twarzach wielu studentów. Bo jakże konferencja naukowa w naszej szkole? Co innego w wyższych uczelniach technicznych czy ekonomicznych — one urządzały już takie imprezy z powodzeniem i mają dawne tradycje w tej dziedzinie. A jeśli chodzi o uczelnie artystyczne — nikt nie przygotował nam gruntu, jesteśmy zdani na własne siły. I żeby choć łatwiejszy temat, a nie „Znaczenie zagadnień światopoglądowych w muzyce na przełomie XIX i XX w.”.

Temat podwójnie trudny; i w części ogólnej, bo związki między światopoglądem kompozytora a jego twórczością są bardzo trudne do zanalizowania i w części szczegółowej, bo wymaga gruntownej znajomości muzyki tego okresu. A przecież jest to najbardziej skomplikowany i obfity w wydarzenia okres historii muzyki — okres, nad którym lamia sobie głowę najlepsi specjaliści. Czy nie za duże zadanie wzięliśmy na swe barki? I pokiwawszy głowami przed gablotką z pierwszym ogłoszeniem o konferencji, małkonenci rozchodzili się do swych zajęć.

Tymczasem czas mijał i strona organizacyjna konferencji zaczęła się rysować coraz wyraźniej. Podzielono zagadnienia na podtematy. Było ich pięć.

Oprócz kolektywów pisańczych referaty, powstały kolektywy organizacyjne, dekoracyjne, kolektywy, które miały się zająć ilustracją muzyczną i kolektywy tłumaczące. Do pracy wciągnięto prawie wszystkich studentów. Jasne jest, że nie wszyscy pracowali jednakowo wydajnie. Ale najważniejsze było, że wszyscy jednak myśleli o konferencji. I tu nastąpił charakterystyczny przełom. Przystępowaliśmy do pracy nad przygotowaniem konferencji pełni obiektyw i niedowierzania, a nawet niechęci. Ale gdy dostaliśmy konkretna zadania i przesiadaliśmy do ich realizacji, gdy zaczęliśmy mieć dużo roboty, wtedy praca pochłonęła nas i rozgryzła, zbudowała w nas zapał i optymizm. Poczuliśmy się zwycięzcami kolektywem, dla którego nie ma trudnych zadań. I — maszyna ruszyła z miejsca.

Trudności były bardzo duże. Bibliografia była, ale przeważnie obcojęzyczna i dotycząca tylko niektórych

rych problemów. Materiałów dotyczących innych zagadnień np. współczesnej muzyki Zachodu było bardzo mało.

Z pomocą przyszło nam grom profesorskie — niektórzy z profesorów służąc własnymi prywatnymi bibliotekami nie skapili nam też rzeczonych głosów krytyki na regularnie urządzanych konsultacjach. W konsultacjach tych brali udział prawie wszyscy studenci. Wytwarzało to atmosferę zbiorowej pracy, która była znakomitą dopowiedzią dla każdego.

Tak więc przygotowania do naszej konferencji zajęły nam bardzo dużo czasu. Mimo to chodziliśmy na wszystkie wykłady i studia szły normalnym torem. Oczywiście trzeba było poświęcić niejedną chwilę rozrywki, czy wytchnienia — ale nikt nie czuł się pokrzywdzony. Atmosfera twórczej pracy była tak zaradliwa, że ogarnęła nawet najwytrwalszych małkonentów, trudno było nie włączyć się do akcji widząc pełną samozaparcia pracę komitetu organizacyjnego z niezmordowanym kol. Poszowskim na czele. Szkoła żyła i oddychała konferencją.

Wreszcie nadszedł uroczysty dzień, 6 maja. Mimo że wszystko było już przygotowane i nie powinno budzić obaw, odzywały się dawne wątpliwości.

Czy nie zblamujemy się? Czy goście, wśród których znajdują się tacy specjaliści muzykologów, jak dr Stefan Łobaczewski z Krakowa, ocenią należycie nasz wysiłek?

Na szczęście obawy te rozwiązały wypowiedzi w czasie dyskusji. Podsumowując konferencję dr Łobaczewski powiedział, że zaskoczona jest wysokim poziomem referatów i że konferencja nasza była niezmiernie cenną inicjatywą i możemy uważać ją za osiągnięcie, bo spełniła swój cel. Również koledzy-delegaci z innych uczelni wyrazili chęć skorzystania z naszych doświadczeń.

A w naszej szkole? Sukces konferencji był dla nas wszystkich najcenniejszą nagrodą za poświęcony trud. Nauczyliśmy się, że wiele można dokonać wspólną pracą i że kolektyw jest potężną siłą. Pogłęбилиśmy nasze wiadomości. Nawiazaliśmy trwały kontakt z innymi uczelniami artystycznymi w kraju. I — co najważniejsze — konferencja podniosła temperaturę ideową naszej szkoły, przyczyniła się do nadania jej wyraźnego oblicza. Osiągnięcia te nie pozwalają nam spocząć na laurach, ale pobudzają i mobilizują do dalszej działalności w tym kierunku.

ANDRZEJ JANUSZEWSKI
PWSM — Sopot

* * *

W każdej pracy, mówimy, istnieje główne ogniwo i sukces wszelkiej pracy zależy od umiejętności znalezienia tego ogniwa, uchwycenia go. W naszej uczelni takim ogniwem była i jest niewątpliwie sprawa świadomości, socjalistycznej ideowości. Zwróciła na to zagadnienie uwagę Krajowa Narada Aktywu Studenckiego ZMP (1952 r.). O ideowości i świadomości studenta mówiono na II Zjeździe Partii stawiając jej podniesienie na wyższy poziom jako najważniejsze zadanie. I wreszcie bodźcem do wyłożonej pracy było dla nas zbliżające się 10-lecie Polski Ludowej. Tak zrodził się temat konferencji: „Znaczenie zagadnień światopoglądowych w muzyce na przełomie XIX i XX w.”, tak powstały poszczególne podtematy: „Geneza ideowa podstawowych kierunków w muzyce epoki imperializmu”, „Światopogląd marksistowski podstawa ideowa sztuki realizmu socjalistycznego” i inne.

Chcieliśmy, poprzez konferencję, dotrzeć do problemu marksistowskiego spojrzenia na muzykę przełomu XIX i XX wieku, na regres sztuki burżuazyjnej i rozkwit sztuki w społeczeństwach socjalistycznych, na wielkie zadanie artysty w naszym społeczeństwie.

Chcieliśmy się przekonać jak muzyka w swym rozwoju jest w istocie walką kierunku realistycznego i kierunków formalistycznych, podobnie jak dzieje myśli ludzkiej są w konsekwencji walką materializmu z idealizmem. Czy w związku z tym twórczość realistyczna nie powstaje na podłożu światopoglądu materialistycznego, a nierealistyczna, formalistyczna przy założeniach ideowych światopoglądu idealistycznego? Czy w takim razie realizm socjalistyczny jest możliwy bez przyjęcia jego ideowych założeń światopoglądu marksistowskiego, a jeżeli nie, to czy metoda realizmu socjalistycznego nie oznacza metody będącej jednocześnie światopoglądem artysty?

Chcieliśmy rozpocząć dociekania jak podstawowym ogniwem w decydowaniu o trwałości dzieł muzycznych jest odzwierciedlanie obiektywnego świata, ich wartość prawdy o człowieku, jego przeżyciach, uczuciach, emocjach — podobnie jak trwałość odkryć naukowych zależy od ich zbliżenia się do obiektywnej prawdy, a co możliwe jest przede wszystkim przy materialistycznej postawie światopoglądowej. Czy w związku z tym artysta o światopoglądzie materialistycznym musi tworzyć dzieła realistyczne, czy nie konieczne i czy artysta o światopoglądzie idealistycznym może stworzyć dzieła realistyczne, czy tylko zawsze formalistyczne?

Nie mogąc przytaczać wszystkich naszych zagadnień, które usiłowaliśmy zbadać w czasie konferencji. Wystarczy wymienione, aby móc sobie wyobrazić jak ciekawie i atrakcyjnie wyglądało to w pracy i na samej konferencji.

Konferencja dała nam wiele doświadczenia, które pozwoli nam przy organizowaniu następnej konferencji uniknąć błędów, które popełniliśmy jako „pionierzy”.

ANTONI POSZOWSKI
PWSM — Sopot

Mówią goście

Byliśmy na Studenckiej Konferencji Teoretycznej w PWSM Sopot, jako przedstawiciele Sopotkiej PWSPP.

W pierwszej chwili byliśmy zaskoczeni tematem... Problemy, które poruszała konferencja, zainteresowały również i nas, dotyczyły bowiem nieomal bezpośrednio naszej pracy artystycznej. Sytuacja w muzyce na przełomie XIX i XX wieku odpowiada sytuacji w malarstwie i literaturze.

Mimo, iż konferencja nie rozwiązała problemu zasadniczego, to jednak stała się sukcesem PWSM. Rozszerzyła zainteresowania, wskazywała nam nowe drogi i perspektywy pracy. Zachęcała do dalszych, twórczych poszukiwań. Zaraziliśmy się zapałem kolegów muzyków i idąc za ich przykładem zamierzamy zorganizować w PWSPP konferencję teoretyczną na temat impresjonizmu w malarstwie.

M. CZYCHOWSKI i W. LAJMING
PWSPP — Sopot

Wiosenna Ankieta

poprostu

Jest śliczna pogoda. Maj i słońce zapraszają na wycieczkę, nad wodę, do parku. Ale zbliża się sesja. Jeszcze tylko parę tygodni i trzeba będzie zdawać egzaminy. Jak pogodzić naukę, obowiązki studenckie i społeczne z wiosną, z pragnieniem odpoczynku i rozrywki?

Czy Ci się to udaje?

Opowiedz o tym innym! Weź udział w Ankiecie POPROSTU, odpowiadając na pytania:

1. Jak gospodaruję czasem, aby mieć wolną chwilę na odpoczynek i rozrywkę?
2. Jak spędzam ten wolny czas?
3. Co umożliwiłoby mi spędzenie tego czasu w sposób bardziej przyjemny i pożyteczny?

Przy odpowiedzi należy podać imię, nazwisko, uczelnię i wydział. Rozpatrywane będą również odpowiedzi anonimowe, opatrzone godłem lub pseudonimem.

Autorom najciekawszych wypowiedzi przyznane zostaną następujące nagrody:

1. Czterolampowy odbiornik radiowy
2. Dwutygodniowe wczasy studenckie (termin i miejscowość uzgodnione zostaną z nagrodzonym)
3. Piłka do siatkówki
- 4 — 8. Bony książkowe po 100 zł
- 9 — 20. Bony książkowe po 40 zł

W wypadku przyznania nagrody za wypowiedź anonimową autor będzie mógł otrzymać nagrodę po podaniu nazwiska (wyłącznie do wiadomości redakcji).

Termin nadsyłania odpowiedzi do 20 czerwca br.



Drużyna Czechosłowacji i Duńczyk Dalgaard podczas rundy honorowej na stadionie w Pradze

Z siodełka „Jawy”

Nie było innego sposobu więc wsiadłem na siodełko motoru Andrzeja Zboronia i pognałem w tempie 75 km na godzinę ulicą Jarosława Dąbrowskiego gonąc trenujących kolarzy poznajskiego AZS. Przechodnie mówili, że jacyś kolarze przejeżdżali tedy 10 minut temu. Dodał mi gazu. Dobięliśmy nas z daleka megafonowe meldunki z trasy X etapu Wyścigu Pokoju. Andrzej uśmiechnął się:

— Nasi powinni być w pobliżu.

I rzeczywiście po kilku minutach zobaczyliśmy grupkę kolarzy zebranych wokół samochodu „Gazety Poznańskiej”.

— Andrzej! — zawołał do mojego przewodnika jeden z kolarzy — czterosobową czołówkę prowadzi Królak!

Zaczęły się wylczenia: ile straconych minut do drużyny czechosłowackiej uda się nadrobić naszym chłopakom. Przerwał je trener kolarzy Kazik Krotoski:

— Ciepaki! Jedziemy...

Cała grupka wróciła na rowery, my umieszciliśmy się z powrotem na motorze i pojechaliśmy w kierunku krańcowego przystanku trolleybusu 103.

— Ale kręca — powiedział z dumą Andrzej. — Jadą w tempie 40 km na godzinę!

Zgodziłem się z nim, ale nie byłem w różowym humorze, bo kolarze zniknęli właśnie za zakrętem, motor zaczął „nawalać”, a ja przecież przyjechałem na reportaż do tych uciekających przed nami chłopaków. Na szczęście szybko naprawiliśmy defekt i dogoniliśmy ich, gdy po przekroczeniu 30 km odpoczywali na sosie.

Tematem rozmowy był oczywiście X etap Wyścigu Pokoju. Potem zaczęliśmy rozmawiać o treningu, sprzecie i zawodach.

— Planujemy w tym roku wiele — zaczął Kazik Krotoski, uczestnik Wyścigu Dookoła Polski w roku 1952. 30 maja weźmiemy udział w Wyścigu „Ulicznym” „Dziennika Łódzkiego”, potem Akademickie Mistrzostwa Polski i wreszcie... Wyścig Dookoła Polski. Chcemy w tym roku koniecznie wziąć w nim udział i montujemy „morowę” drużynę. Przełamiemy złą tradycję sportu kolarskiego w naszym Zrzeszeniu i wyobraźcie sobie, że po dwóch latach pracy jesteśmy wśród poznańskiej czołówki. Mamy w drużynie, w której, trenuje 35 zawodników, bardzo uzdolnionych chłopców. Np. Leonard

Kuczma — o ten w jasnej wiatrowce — to mistrz Poznania. Zano-towaliśmy szereg sukcesów. Nasi kolarze zajęli 1, 2 i 4 miejsce w III kategorii, a Rysiek Rutkowski był dziewiąty w I kategorii. Mamy tylko poważne kłopoty ze sprzętem i z treningami. Dysponujemy zaledwie sześcioma rowerami wyścigowymi i nie możemy dostać więcej — nie mamy także dobrych warunków treningu, bo wszyscy razem możemy jeździć tylko w niedzielę. Rozwiązujemy to w ten sposób, że ja... trenuję cały tydzień, kręcąc codziennie z inną grupą po 50 — 70 km.

— Chodźcie na bok — zwrócił się do mnie Kazik, bo podsłuchują. — Jestem naprawdę bardzo zadowolony z drużyny — ciągnął dalej. Trenują wszyscy bardzo solidnie. Poważne trudności mamy tylko z jedynym z najlepszych naszych zawodników, Olikiem Kuczma, który pracuje poza Poznaniem i bierze udział wyłącznie w niedzielnych treningach. Olek zajął drugie miejsce w wyścigu na 30 km z wyrównaniem, zorganizowanym przez ZS „Kolejarz”. To był jeden z naszych największych sukcesów. Obecnie, jak już mówiłem, ostrzyżmy sobie żęby na IV AMP, a ja i Rysiek Rutkowski na Wyścig Dookoła Polski. Ale

Raid po ziemi kaszubskiej

I rka miała za duże pantofle, w których najtrudniej było schodzić z góry. Bożena, jak to często bywa u medyków od-czuwała podczas marszu kilka dolegliwości na raz, więc „sfor-sowanie wzniesień wymagało „wielkiego hartu ducha”. Tadek objuczyło zos-tał jak najbardziej racjonalnie — marynarka, „jej” płaszcz, własny krawat i sweter na jednym ramieniu, na drugim — chlebak, na wycinanym turystycznym kiju „oszy-czek, a w nim „no, lepiej nie za-glądać. Te drobne dolegliwości nie przeszkodziły jednak grupie 60 studentów Gdańskiej Akademii Medycznej — jednej z dziesięciu grup biorących udział w pierwszym studenckim raidzie turystycznym zorganizowanym z okazji 500-lecia o-swoobodzenia Gdańska z jarzma krzyżackiego i IX rocznicy wyzwolenia przez Armię Radziecką zameldować się w komplecie na metę raidu w Kartuzach.

Oczywiście, na ostatnim etapie przeszło 20-kilometrowej trasy ilość świeżo upieczonych turystów była

bardzo zróżnicowana, jednak sto-licę Kaszub powitała wspólnie dosyć zwarta grupa. Wspaniałe wrażenia jakie pozostawiły wycieczkowiczom widoki błękitnych jezior kaszub-skich, gęstych borów o soczysto zie-lonym podszyściu i malowniczych wiosek, pokonały zmęczenie, brak kondycji i drobne nieuniknione tro-ski.

Podczas tych wędrówek studenci zapoznali się z zabytkami okolicy, gdyż niektóre trasy przechodziły przez najstarszą osadę kaszubską — gniazdo rodzinne książąt pomorskich — Chmielno. Tu na obszarze znajdującym się między dwoma je-ziorami widoczne są ślady grodu, który w XIII wieku był siedzi-bą córki Światopłuka — Damroki.

Turyści nie tylko poznawali pięk-no Szwajcarii Kaszubskiej, jej lud-ność i sztukę ludową, ale podczas raidu wykonali wiele prac społecz-

nych, dali szereg występów arty-stycznych. Na przykład, studenci Akademii Medycznej po zapoznaniu się z pracą sanatorium przeciwgru-zliczego w Dzierżaninie wystąpili z bogatym repertuarem pieśni i tań-ców, za które byli gorąco oklaski-wani przez pacjentów.

Uroczyste zakończenie raidu studenckiego odbyło się w Kartuzach na placu Zgromadzeń Ludowych. Do późnej nocy ciągnęły się wystę-py chóru i zespołów tanecznych stu-dentów PAM i WSE, oraz regional-nych zespołów kaszubskich. Długo przy zapalonych ogniskach roz-brzmiewał wesoły gwar zabawy lu-dowej.

Setki nowych turystów, przyjem-ny wypoczynek, zacieśnienie wię-zów z ludnością kaszubską to plon pierwszego studenckiego raidu tu-rystycznego.

STANISŁAW STEFAŃSKI

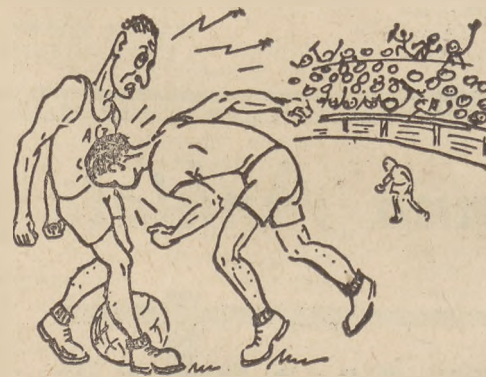
Notes SPORTOWCA AZS

W ramach przygotowań do IV Akade-mickich Mistrzostw Polski studenci WSR w Poznaniu zorganizowali Uczelniane Zawody Lekkoatletyczne. Na wyróżnie-nie zasługują wyniki: 100 m Solarski — 11 sek., wżwyż Dębski — 156 cm, grana-t Kaczmarek — 52,62 m, kula Brom-der — 10,52 m. W konkurencji kobiet kol. Kukla skoczyła 4,26 m, granat Chmielewska — 38 m.

W Krakowie odbyły się drużynowe lekkoatletyczne zawody koresponden-cyjne ZS „Kolejarz”, „Gwardia” oraz WSWF Kraków. Zwyciężyli studenci Wyz-

szej Szkoły Wychowania Fizycznego u. zyskując 31,223 punkty. Na specjalne wyróżnienie zasługują rezultaty kol. Borka — 100 m 10,9 sek., 1500 m Gło-wińskiego 3,58,8 min., tyczka Boregi 3,60 m.

Do poprzedniego notosu sportowca AZS wkradły się dwa błędy drukarskie, które niniejszym prostujemy. Wynik kol. Pyzika AZS — Kraków w skoku wżwyż wynosi 180 cm, a nie 7,80 (!) Ponadto kol. Kuraś AZS AWF osiągnął czas w biegu na 3.000 m 8,48,6, a nie na 300 m jak to napisaliśmy.



— Byle tylko grać „z głową”, a wynik ma się w kieszeni!

Na podstawie obser-wacji meczu piłki nożnej podczas spartakia-dy AGH narysował ko-respondent

ODON KENDZIUR
Politechnika Krakowska

po krzywy

JERZY GRABOWIECKI

Okrutne losy ...

(wiersz na wół liryczny)
bez dedykacji ze względu na masowość zjawiska

Wczoraj wieczorną porą szliśmy oboje Plantami
Na opuszczonej laweczce w rogu siedliśmy sami
Patrzyłem na twe usta z wielkim zachwytem i smakiem,
Lecz nie wiadomo dlaczego przypomniał mi się lakier
Widziałem twe brwi i rzęsy, ale coż biedny poradzę,
Kiedy po krótkiej chwili przyszły mi na myśl sadze.

Za chwile szczęścia nieme, losy okrutnie karzą:
Wróciłem po godzinie z czarno-czerwoną twarzą.



KARCZY

MAREK ZAKRZEWSKI

Z krokodylem na egzamin

Sesja. Więc siedzę i kuje. Egzamin na drugim roku medycyny to nie fraszka. Bałaganito się troszeczkę w ciągu roku i teraz trzeba faldów przysiedzieć. Trud-no, za swoje grzechy człowiek płaci. Szumią drzewa, słońce kusi.

Kusi zresztą nie tylko słońce, ale i perspektywa pójścia do kina z Madzią.

Cóż, kiedy u nas na Akademii Medycznej w Białymstoku nie ma żartów: żeby zdać, trzeba coś umieć. Więc siedzę i kuje. Przede mną stos preparatów, skryptów, ołów-ków, notatek i diabli wiedzą czego jeszcze.

Cisza, spokój, siedzę sam. Póki Kubuś nie upadł do pokoju. Bo my razem mieszkamy.

— Co się męczysz? — pyta. — Nie przeszkadzaj, widzisz, że się uczę!

Zarechotał. — Śmiesz się ze mnie, słusznie, trzeba mi było...

— Eee, kto by tam tak jak ty. Po co ci to wszystko? Ja się już dzisiaj przygotowałem z piątego profesora prawie.

— Chyba z piątego przedmiotu, Kubusiu!

— Nie, profesora. Ja się przygo-towuję z profesorów, to znacznie ważniejsze.

— Nie rozumiem.

— Ale, że sesja, to rozumiesz?

— Jasne, dlatego się uczę!..

— Głupiś. Czy ty wiesz, jakie znaczenie ma sesja?

— No, żeby sprawdzić, czy wie-my, co potrzeba wiedzieć...

— Frajer! Pytam, o co nam, n a m, chodzi? Żeby zdać, nic wię-cej! Żeby nie oblać!

— Hm..!

— Więc dlatego trzeba przygoto-wać się z profesorów. Dziś załat-wiałem Szarego. Antropologia jak-by w kieszeni! Właśnie rozmawia-łem z tą małą, co to bawi się za-wsze koło pałacu. To córka Szarego. W ramach wymiany usług dowie-działem się z dwa batony czeko-ladowe, że profesor hodował przez parę lat żywego krokodyla, póki go nie oddał do zoologu. A na biurku w mieszkaniu trzyma w szklanym słoju embriona w spiry-tusie. To bardzo ważne, rozumiesz? Embriona! No i parę lat temu na-pisał kilka prac z teorii defekacji.

— A co to ma wspólnego z egzami-nem u Szarego?

— Bardzo wiele. Jakby co — kre-wa, zagina mnie — to ja zaraz weksluje na krokodyla, embriony albo defekacje. Jeszcze sobie muszę coś nie coś przejrzyć na ten temat. Powiedz sam, czy znajdzie się czło-wiek, który nie ustosunkuje się sympatycznie do faceta wyciągają-cego ni stąd ni zowąd ulubiony te-mat?

— Trudno mi powiedzieć, ale twój pomysł...

— To nie jest zupełnie mój po-mysł. Był tu w zeszłym tygodniu mój szwagierek, który przed wojną całe prawo tak zdawał. Powiada, że świetna metoda. A teraz mu się zupełnie dobrze powodzi. W ramach uświadomionej inicjatywy dostawia ozdoby z kości woloowej do „Ce-peli”.

— Ale może na medycynie to nie chwyci?

— Co za różnica, profesor też człowiek. O Bidelu dowiedziałem się, na przykład, że od dwudziestu lat choruje na żołądek. I lubi o tym mówić. To wielka możliwość do wykorzystania na egzaminie, wielka! Tylko trzeba z umiarem, taktem: mówi się o kregostupie i potem delikatnie wspomina o znaj-dującym się w pobliżu żołądka, wy-raża się sympatię dla ludzi choru-

ilustr. JERZY KARCZ



jących na żołądek i te de, i te de. Rezultat muiowany.

— Szwagier gwarantuje?

— Jasne. Mówił mi, że za jego czasów był to najpewniejszy sys-tem. Stuchaj, w ramach wspólnego zamieszkania i tak dalej, gotów ci jestem służyć wszystkimi informacjami. Na zasadzie wymiany — ty mi powiesz, co się jeszcze zdążyś dowiedzieć, a ja... Tylko musisz mi dać słowo honoru, że nikomu nie nie piśniesz, bo konkurencja gotowa popsuć mi interes, a tu chodzi o to, żeby odwalić te egzami-ny. Potem człowiek będzie miał spokój aż do jesieni.

— Wiesz, Kubusiu, ja już chyba zostanę przy swoim systemie...

— Co ty mówisz, masz inny sy-tem?

— Aha, też ży, ale już trudno: kuję przed egzaminami.

— Phi, co za sztuka!

ny majowy poranek? Było to rok temu”.

P: „Przed Politechniką gwar. Stare jej mury okala zewsząd wie-niec rozśmianych twarzy, błyska czerwien ZMP-owskich krawatów, dźwięczy młodzieńczy śmiech, bije w szklane oczy zakładu, płacze się po opustoszałych korytarzach”.

„Nowy Medyk” nie może oczywiście tak napisać, ale od czego jest

drzew zlotymi plamami tańczy ci pod nogami. Z ufnością patrzysz w przyszłość, przyszłość, którą włas-nymi wykuwasz rękami. A ręce twoje złęczone z setkami, tysiącami młodych rąk są tak silne!”.

A „Nowy Medyk” skwapliwie po-wtarza: „Wiosna... Wracając do do-mu mijaliśmy Łazienki wabiące świeżą zielenią kasztanów, zacissem swych długich alej. Słońce cedząc swe promienie przez młode korony



Bez podpisu

„Frischer Wind”

